Nr. 9. Poznań, Niedziela 3go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WAŻNE WYZNANIE.

II.

Milicya zszeregowana około ks. Koźmiana składała się z różnorodnych żywiołów, ale całość przedstawiała zastęp, idący do boju pod znakiem krzyża, piastowanego wówczas przez Piusa IX i szła do boju w tem przekonaniu, że to walka *pro Deo et patria*. Ks. Koźmian był w pierwszym okresie tych zapasów wszystkiem, sercem i głową tego zastępu, agitatorem i zarazem publicystą pokroju Veuillota. Dziełem jego jest zorganizowanie *pospolitego ruszenia* całego ludu katolickiego w obu dyecezyach. Nie uczynił tego w charakterze jakiegoś trybuna ludu, uczynić tego nie mógł już dla tego samego, że był z rodu i przekonania szlachcicem polskim, o kolorycie arystokratycznym, i zwolennikiem zasad zachowawczych. Mobilizując lud, miał przedewszystkiem interes Kościoła na celu. Znając z dawnych czasów odśrodkowe dążności pewnej części ówczesnego duchowieństwa parafialnego, powątpiewał, czy wszyscy księża za nim podążą. Czego nie mogła dokazać powaga przywódzców, miał dokazać nacisk moralny ludu, z którym wahające się duchowieństwo musiało się liczyć pod groźbą utraty swych wpływów.

Ktoby chciał pisać historyę naszego „ruchu ludowego“ nie może pominąć tego ważnego faktu i przyzna, że ten znienawidzony przez naszych liberałów dla swoich klerykalnych intencyi „Koźmian“ więcej się przyczynił, aczkolwiek w innych intencyach, do rozbudzenia tego ruchu, niż stara gwardya poznańskich liberałów. *Ich* ten ruch zaskoczył niespodziewanie. Patrzyli na niego z lekceważeniem, a zabielmione oko, nie było zdolne dostrzedz w tem zjawisku prądów narodowych. Dopiero, gdy ruch, wszczęty w interesie Kościoła, zaczął wchodzić na tór interesów narodowych, i to pod wodzą ludzi, nie należących do obozu Dziennikowego, bielmo zaczęło opadać, i naraz powstał krzyk w bractwie liberalno-szlacheckiem, „że ręka niegodziwa podkłada ogień pod gmach ojczysty“. Któż jest tym śmiałkiem, co bez upoważnienia naszych gerontów mógł się narzucać ludowi na przewódzcę, skoro w katechizmie politycznym napisane jest, że tylko „z szlachtą polską polski lud“ iść może? — Tymczasem gmachu nie objęły płomienie; ale co się paliło, to słoma komunałów politycznych miłych sercu i uchu naszemu.

Ręka podkładająca ogień pod tę słomę, była ręką „niegodziwca“ Orędownika i Spółki. Do tej spółki należało kilku „fronderów“ z obywatelstwa wiejskiego, a głównie lewe skrzydło stronnictwa klerykalnego, składające się z księży, utajonych demokratów. Ci wyznawać głośno swych zasad nie mogli, bo demokracya jako taka potępiona została przez „*syllabus errorum*“. Popierali oni jednak szczerze „Orędownika“ i jego redaktora, a popierając go nie przestali być w zgodzie z własnem sumieniem, ile że „Orędownik“ przyznawał się głośno do zasad Kościoła.

Jaki miał i ma program „Orędownik“, tego się nikt nie domaca, kto od samego założenia pisma tego regularnie go nie czytywał. Polemiczne artykuły „Orędownika“, pisane piórem, maczanem w żółci, dają powód do mniemania że znęcanie się nad *osobą* przeciwnika jest pisma tego najważniejszym celem. Podług podobnych artykułów, powtarzanych skwapliwie przez dzienniki przeciwnych obozów, a komentowanych *sic'ami* i wykrzyknikami, publiczność nie czytająca „Orędownika“, sądzi go, a jeżeli niekorzystny sąd wydaje, upoważnia ją do tego poniekąd sama redakcya, gdy „in der Hitze des Gefechts“ zaczepia i odcina się frazesami, obrażającemi w wysosokim stopniu patryotyczne uczucia ogółu polskiego oraz ideały wpojone w każdą tkankę mózgów naszych. Przyparty do muru, spostrzegłszy, że podobne odrębywanie się przeciwnikom niepopłaca nawet w „warstwach średnich“ cofa się, ale odwrót ten, zbyt późno i nie zawsze zręcznie wykonany, wzbudza niesmak w kołach własnych jego przyjaciół, a przeciwnikowi przedstawia widowisko odwrotu potłuczonego przez śmigi wiatraka rycerza kastylijskiego. Wszystkie te utarczki polemiczne stanowią wielką przeszkodę w rozumieniu właściwego programu „Orędownika“.

Rozbudzenie w średnich warstwach i przez nie w niższych świadomości praw i obowiązków obywatelskich, jako też oddanie obrony narodowości naszej w ręce ludu samego — oto zwrotka, powtarzająca się od założenia „Orędownika“ w łamach jego. Ponieważ i „Orędownik“ liczyć się musi z pewnemi uprzedzeniami swych czytelników, zatem przytępia nieraz ogólnikami swe myśli, ale kto cokolwiek wniknął w ducha jego programu, wie dobrze, że pisząc np. o polityce *ludowej*, ma na myśli politykę „*demokratyczną*“.

Ile w tym programie jest *szlachtofobii*, w to nie wchodzimy, my się trzymać możemy tylko założenia, z którego on wyszedł, a jest niem kilkakrotnie powtarzana teza, że gdy szlachta liberalna nie posiadała nigdy stałego punktu ciężkości w swej polityce porozbiorowej, że skoro wahając się pomiędzy aspiracyami do zbrojnego powstania i zasadą pracy organicznej, rujnowała zawsze dorobek moralny i materyalny „klas średnich“, tak dobrze jak i siebie, — odmówić jej należy prawa do wyłącznego kierowania obroną narodowości naszej. Program ten wygląda tak, jakby był co dopiero wyrósł z kuźnicy Kołłątajowskiej; opiera się jednak na rzetelniejszej, niż tamta podstawie, bo dziś posiadamy światlejsze mieszczaństwo i światlejszy lud, niż to było za czasów Kołłątaja. Ten program z wezwaniem: „zacznijcie się obywać bez szlachty“, uważanoby w krajach na zachód od zgniłej Obry położonych, za coś w rodzaju zabytku archeologicznego. Gdyby np. kto z nas przedzierzgnął się w Niemca lub Francuza i ogłosił go w *Pasewalk* lub w jakimś zakątku Wandei, uchodziłby za filistra, któregoby zapytano z wzruszeniem ramion: czy ty kpisz, czy o drogę pytasz? Ale u nas było to nowością. Zdawało się, że Antychryst na wozie ognistym zjechał na nasz padół, aby zburzyć Zakon naszych tradycyi narodowych! Powstała więc wielka wrzawa na „Orędownika“, a w tej wrzawie najwięcej brała udział prasa naszego liberalnego obozu, z „Dziennikiem“ na czele. Nie działo się to bez powodów praktycznych. „Orędownik“ cieszył się (być może nieproszoną) protekcyą pewnych osób z prawego skrzydła stronnictwa klerykalnego. Z pewną satysfakcyą patrzała szlachta, przyznająca się do zasad zachowawczych z odcieniem arystokratycznym, gdy „Orędownik“ w przymierzu z nią dojeżdżał „*liberalnym szlagonom*“ od „*Dziennika*“, a szczególnie „tromtadrackiej Niegolewszczyznie“. (*Zaznaczamy wyraźnie, że piszemy w cudzysłowie.*) Nawzajem „Orędownik“ odpłacał się wrzekomej arystokracyi pochwałami, przeciwstawiając ją *szlachcie*, nie odmawiał jej uprawnienia do dzierżenia steru w sprawach publicznych, a domy ich uważał za ogniska prawdziwego katolicyzmu i konserwatyzmu w stylu Wielopolskiego, który (nawiasem to mówimy) uchodził w oczach jego za wzór prawdziwego męża stanu w Polsce porozbiorowej. Wyglądało to na „*captatio benevolentiae*“, a było postępowaniem hazardowem, bo „Orędownik“ mógł przypuszczać, iż odgrywał wśród tych panów rolę Szyllerowskiego murzyna. Można było przewidzieć, że to koleżeństwo obozowe długo

trwać nie będzie, że po zawarciu zawieszenia broni między rządem i Kościołem, każdy z tych towarzyszów broni pójdzie w inną stronę, a myśl ta nasuwała się tem wyraźniej, ponieważ „Orędownik“ w przewidywaniu bliskiego końca walki kulturnej, coraz chłodniej bronił interesów Kościoła, a tem głośniej napomykać zaczął, że gdy Niemiec zajmie stolicę prymasowską, trzeba będzie pomyśleć i nad tem, ażeby w obronie naszej narodowości stać się niezależnymi od duchowieństwa. Obok hasła: „obywajcie się bez szlachty“, wydał z pewną rezerwą, nakazaną względami taktycznemi, drugie: „zacznijcie się obywać w sprawach czysto politycznych bez księży“. Zdawać się mogło, że na tym punkcie nastąpi jakiś „*modus vivendi*“ pomiędzy naszym „umiarkowanym liberalizmem“ i „Orędownikiem“. Przeciwnie — rada owa, żeby w sprawach politycznych emancypować się z pod wpływu duchowieństwa, starczyła za materyał do wniesienia aktu oskarżenia przeciw „Orędownikowi“ o szerzenie idei przewrotu. Było wtedy widmo socyalizmu straszakiem na ludzi o słabych nerwach, a że społeczeństwo nasze jest nerwowe, nic dziwnego, że straszak pracował u nas ze skutkiem.

Straszono więc szlachtę i księży „Orędownikiem“, jako szerzycielem idei socyalistycznych i anarchii w naszej dzielnicy: „ukrzyżujcie go — (a przedewszystkiem nie abonujcie) „bo jeźli tego nie uczynicie, socyalna demokracya i anarchia zatruje do szczętu soki naszego poczciwego ludu“. Czyby p. Bebel, czytając ówczesną polemikę pism naszych, nie porwał się za boki od śmiechu? Czy zrozumiałby, o co właściwie toczą między sobą bój ci konserwatywni Polacy? Gdzie tu socyalizm, kiedy wszyscy biją się w piersi i zapewniają, że są Polakami i najwierniejszymi synami Kościoła? Idźcie sobie — powiedziałby — jest to poprostu sprzeczka familijna, do której się nie mieszam. Że w tym całym wrzasku nie było dobrej wiary, jest rzeczą pewną; ale właśnie dla tego zasługuje ta okoliczność na uwagę, że jest objawem patologicznym naszych koteryi politycznych. Pal djabli zasady, bylebym odzyskał straconą pozycyę i zdobył nową! Oto kwintesencya mądrości politycznej naszych autorytetów, mniejsza o to, gdzie oni się kryją, czy w sztabach t. zw. liberalizmu, czy w sztabach t. zw. klerykalnego kierunku. Z takiej wrzawy korzysta zawsze *tertius ridens*, a takim był „*umiarkowanie liberalny*“ nasz „Dziennik“. „*Paris vaut la messe*“, powiedział sobie z humorem protoplasty Burbonów — i pozyskał dla siebie wyspę tumską. Kto odegrał w tym wypadku rolę Mahometa, a kto góry, nie wiemy, ale to widocznem jest, że łatwa na pozór okupacya nie przysporzyła sił „umiarkowanemu liberalizmowi“. *)

*) S p r o s t o w a n i e. Do poprzedniego artykułu, sprawie tej poświęconego, zakradła się nieprzyjemna omyłka, zmieniająca intencye i opinje autora. Zamiast: oni woleli stanąć pod komendą komitetów obywatelskich — białych, czy czerwonych — lub iść za głosem takiego patryoty, jakim był n. p. ks. Hieronim Kaysiewicz, niż słuchać rozkazów zwierzchności“ — czytać należy: „oni woleli stanąć pod komendą komitetów — białych, czy czerwonych — **niż** iść za głosem takiego u l t r a m o n t a n i n a - p a t r y o t y, jakim był n. p. ks. Hieronim Kaysiewicz, lub słuchać rozkazów zwierzchności“ (str. 85, łam 3, wiersz 4 od góry). Przyp. Red.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Gazeta Toruńska taką wyraża opinję w Nr. 46:

„Z Torunia pisze ktoś do „Kuryera Pozn.“ między innemi, co następuje: „Po sejmiku gospodarskim odbył się w Artushofie bal tak świetny, jak nigdy dotąd (! ! !). Gości zebrało się przeszło 200 osób z Prus, Księztwa i Królestwa. Tańce szły ochoczo do 7 rano.“

Każdy wick ma swoje prawa i przeciw zabawom nawet w setną rocznicę ostatniego rozbioru Ojczyzny nie występowaliśmy, ale rozsyłać w świat przechwałki, że „bal“ w tak smutną urządzony rocznicę swoją świetnością przewyższył wszyskie poprzednie, mógł chyba tylko jeden z tych Wicków i Wacków, za którymi na sali sejmikowej ku wielkiemu swemu zmartwieniu daremnie się oglądali poważni nasi obywatele. Takie przechwałki świadczą o wielkiej bezmyślności i o zupełnym braku serca, który nie pozwala mieć względu na to, że jedna część narodu w tym roku nie tańczy wcale, a inni bawią się skromniej, niż zwykle.“

„*Orędownik*“, streszczając w Nr. 48 odpowiedź ministra Bossego na interpelacyę posła ks. prałata Jażdżewskiego w sprawie nauki języka polskiego. takie załącza uwagi:

„Deklaracya nie podaje nic nowego, bo już od roku, od wydania rozporządzenia p. dr. Bossego z dnia 16 marca 1894 wiemy, że rząd obowiązkowej nauki polskiej nie przywróci.

Deklaracya jest jasna, bo nie upoważnia nikogo do jakichbądź złudzeń.

Deklaracya jest potępieniem polityki naszej partyi dworskiej, która się dziś okazała jako zwodnicza i fał-szywa.

Polityka partyi dworskiej jest dziś skończona. Stra-ciła wszelką podstawę, wszelki grunt. Polityka jej za-padła i przepadła, ale jej wyznawcy istnieją.

Niech się nikt nię łudzi, żeby klęska, jaką ta pa-tya poniosła, nauczyła ja pod każdym względem rozum-jakby się tego spodziewać należało.“

„*Kuryer Gdański*“ donosi w wtorkow[ym] numerze:

„Straszne rzecze wyśledził „Gesellige“. Oto w p[e]wnej wsi katolicka dziewczyna chce wyjść za luterskiego parobka a nawet na tyle „przejrzała“, że później gotow[a] przyjąć „oczyszczoną“ ewangelię i zostać luterką.

Katoliccy krewni dziewczyny powinni się z tego oczywiście zdaniem „Ges.“ cieszyć, lecz szczują oni na „[nieroz]umną“ dziewczynę i odwodzą ją od „chwalebnego“ zamiaru. Gdyby to byli zwykli śmiertelnicy, możnaby się śmiać z ich „nierozumu“, ale główny przeciwnik za-miarów dziewczyny, jej brat rodzony, służy — o zgrozo — w Berlinie cesarzowi jako gwardzista. Tam nasłu-chawszy się w koszarach klątw przeróżnych, korzysta z nabytych wiadomości, aby siostrę przekonać i napi[sał] jej list prawdziwie siarczysty.

Korespondent „Geselligera“ — zapewne polujący [na] duszę dziewczyny predykant lub jego pomocnik — st[ru]szcza list owego berlińskiego gwardzisty do siostry, „dowód, że zgoda z Polakami nie możliwa“. Widocz[nie] jest on zdania, że my nie tylko narodowości, ale na[wet] religii bronić nie mamy prawa, kiedy przeciwnie kr[zy]wicielom niemczyzny i protestantyzmu wolno bez prze-szkody odwodzić nasze siostry od ojców wiary i na-dowości.

Nawet poufną wymianę zdań między bratem a s[io]strą — wątpimy, czy za wiedzą autora i adresatki — wyzyskują nasi najserdeczniejsi, byle nam tylko [do]szturchańca. Cel w tym wypadku godzien jest zupe[łnie] środka.

Zaiste, w niektórych kołach znikło już wszelkie [u]czucie uczciwości i moralności“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie „*Selskie Listy*“ piszą o st[o]sunku namiestnika czeskiego, hr. Thuna i rzą[du] austryackiego do narodu czeskiego, co nast[ę]puje:

„Nareszcie doczekaliśmy się politycznego credo naszego p. namiestnika. A to credo prz[e]nika uczucie pychy i zarozumiałości, — namie-stnik jest z swojego dzieło dumny. Był nasz stosunek do niego zawsze jasnym, dziś stał [się] jeszcze wyraźniejszym.

„Namiestnik ma według swego przekona-nia dwojakie zadanie w królestwie czeskim.

„I. Upewnić i wzmocnić patryotyzm au-tryacki, ponieważ według niego tylko w siln[ej] Austryi i mocnem połączeniu się z Austryą sp[o]czywa szczęście Czech.

„II. Utrzymać w naszym kraju ład i p[orządek]

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

ONO.

Zaraz po ślubie wyjechali na wieś. Kilka szczęśliwych okoliczności złożyło się na doskonały ten projekt; on otrzymał urlop na cały miesiąc, ona zaproszenie w gościnę do krewnych, lato zaś słało im w prezencie dni pogodne, słoneczne, złote.

Uciecha i szczęście skracały im chwile. Życie ich snuło się, jak w rzeczywistość zaklęte marzenie, a w dni, przepełnione urokami, świeciły dwa słońca, jedno siało blaski, drugie pieszczoty.

On był mieszczuchem z urodzenia i usposobienia. Uczucia pierwszy raz doznawanej miłości czystej i szlachetnej otworzyły jego serce dla natury. Wyrywał się z domu na powietrze swobodne, nie ujarzmione ścianami i nie przyduszone sufitem. Pierwszy zawsze robił propozycye nieuprzykrzonych nigdy wycieczek. „Po śniadaniu pójdziemy do lasku, dobrze Maniu?“ A gdy wracali z lasku, pomęczeni, wolnym krokiem, pożądając co najrychlej progu, on występował z nowym już projektem spaceru: „Przed wieczorem przejdziemy się miedzą do pszenicy, dobrze Maniu?“

Urok wakacyi, na wsi spędzanych, i słodycz miodowego miesiąca przemieniły go zupełnie. Z poważnego nad wiek i poprawnego, jak księga rachunkowa, urzędnika banku, stał się wesoły, ruchliwy i zbytny jak student. Mania wychowywała się w mieście i wieś znała tylko przez zabrudzone szyby letnich mieszkań. Na wsi, tak prawdziwej i tak pięknej, była po raz pierwszy. Poznała jednocześnie tajemnice natury i tajemnice miłości. I ona się zmieniła pod wpływem tej podwójnej nauki. Dziewczątko żywe i wesołe, figlarna trzpiotka przemieniła się w cichą, słodką, rozmarzoną kobietkę.

Było w ogrodzie miejsce jedno, zaciszne, w którem lubili młodzi małżonkowie ukrywać się od natrętów. Pod osłoną gęstwiny, z liści bzu utkanej, przedrzeźniali się z sędziwą lipą-staruszką, której próchno jadło już serce, a która na zakochanych złościła się, szeleszcząc i trzęsąc liśćmi. Tu po raz pierwszy przebąknął on o spodziewanej przyszłości.

— Maniu!...

— No?!

— A jak na imię będzie naszemu s[y]nowi?

Spłonęła, jak dostała wiśnia i z wyrzut[em] rzekła do niego:

— E-e-e-dziu!

Ażeby spędzić marsa, który podniósł nie[co] czarne jej brewki, udał się po protekcyę do p[a]luszków i każdego oddzielnie pocałunkami p[rze]kupywał.

Na wsi już nie było więcej o tem mow[y]. Po powrocie do Warszawy jednak, w parę [ty]godni po urządzeniu się na nowem gospod[ar]stwie, Edzio drugi raz podniósł tę samą wa[żną] kwestyę.

Było to przy herbacie wieczornej.

— Czy wiesz, Maniu, nad czem ja my[ślę] w tej chwili? — rzekł Edzio, sięgając szcz[yp]cami do cukiernicy.

— Zkądże mogę o tem wiedzieć?

— Oto zrobiłem postanowienie, że je[śli] mieć będziemy syna, to mu damy na imię...

Zatrzymał się. Mania tym razem [nie] spłoniła się ani trochę. Oparła tylko głow[ę] na piąstkach, oczy zwróciła na Edzia i rzek[ła]:

— Ciekawa jestem, jakie?

— Maryan — odrzekł.

Uśmiechnęła się, dziękując mu wzrok[iem].

— No, a jeśli nie będziemy mieli sy[na]? — rzekła po chwili.

rządek, a jak w tym kierunku pracował, wyświecają jego słowa: „„Tak panowie! Jam to postawił żądanie, aby zaprowadzono stan wyjątkowy.““

Jego Ekscelencya nie wchodzi w głębsze powody dzisiejszego ruchu politycznego i socyalnego,choć dziś widzieć może, że ten stan wyjątkowy nie doprowadził do niczego.

„III. Występować przeciw tym wszystkim żywiołom, które poruszają ład i spokój, ponieważ nie można zaprzeczyć, że w naszym kraju wyszły na jaw prądy radykalne, nastało pewne zdziczenie. Dalej dodaje: „Atoli zawsze używałem środków wyjątkowych miarą najskromniejszą. W stanie wyjątkowym wolno się poruszać swobodnie każdemu obywatelowi, miłującemu ład i porządek. Wolnym jest handel wolną nauka, wolnem słowo. Uważam stan wyjątkowy za ochronny...“

Ale któż w tym stanie wyjątkowym porusza się swobodnie? Otóż pan namiestnik, szlachta i duchowieństwo. Szerokim warstwom ludu niewolno wypowiadać tego głośno, co myślą.

„Przewrót musi być powstrzymanym,“ prawił namiestnik, a szlachta i Niemcy mu przyklaskiwali. W końcu wyraził podziękę policyi i sądom krajowym za energię i bezwzględność, oraz zapewnił, że dopóki to będzie wolą cesarza, na stanowisku swojem wytrwa.

Rozumiemy go i należycie tę otwartość oceniamy. Ale i my przy programie swoim zostaniemy i w walce wytrwamy...“

* *

Organ socyalistycznej Omladiny „*Radikalni Listy*“ piszą:

„Dość już rezolucyi papierowych o równouprawnieniu, o prawie państwowem, o samodzielności i niezawisłości politycznej, — wszystko to jest niczem, my przedewszystkiem chcemy mieć prawo do życia. Do tego potrzeba nam ludzi silnych, świadomych w każdej chwili celów ostatecznych. Nie starczy chcieć wypełnienia postulatów sprawiedliwych, trzeba całem życiem, w każdej chwili okazywać światu, co się w naszej duszy dzieje. Wiemy, że takie życie, przesycone jest żółcią, odmawianiem sobie wszystkiego, że w każdej chwili zamiast potu krew płynie po skroniach. U nas cały naród o tem pamiętać powinien, ale w pierwszym rzędzie ci, którzy na jego świeczniku stoją.

Wiemy o tem, że myśliciele i walczący za prawa narodu wlekli żywot więzienny, upadali we krwi pod mieczem katów, wisieli na szubienicach. Mimowoli te myśli nasunęły się nam, gdyśmy się dowiedzieli, jak na balu wyprawionym u namiestnika znalazł się poczet mężów, stojących u steru naszego, którzy, jak Vrchlicki śpiewają pieśni na temat poświęcenia i konieczności ofiar, choćby krwawych, dla dobra narodu, a skoro ich p. namiestnik wezwie do siebie bojową lirę zostawiają w domu i spieszą oddawać hołd wrogom narodu.

„Cóż z tego, że tam na dworze rozciąga skrzydła czarne stan wyjątkowy, że w tej chwili, gdy sala brzmiała skocznemi tonami pląsów, tam w kazamatach borskich niejedna głowa śniła o pięknych słowach Vrchlickiego, napisanych już w roku 1890 o karze i winie narodu!

— „Tva noha v podtech (pętach), na twych nadrzech (piersiach) hora,

— Vszak, ptam se, je trest (kara) s vinou (wina) v rovnovaze?

Czescy poeci, artyści i uczeni pląsali aż do północy.

Owóż to, co wytykamy: dla formy, dla konwenansu zapomina się u nas o zasadach.

Ludzie stojący na czele naszego społeczeństwa muszą posiadać inną wolę, — nie takich, których ciało jest gliną zewnątrz politurowaną, przy pierwszem starciu się rozpryskującą.

Nasi panowie poeci, artyści i uczeni muszą być innymi, w czynie i słowie czeskimi, bo choć chcą oni, my nie chcemy zginąć, — osłabieni wśród niedołęgów i łotrów.

* * *

„*Srpski Glas*“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, pisze w korespondencyi, otrzymanej ze Sarajewa o słowiańskiem dziennikarstwie tamtejszem, co następuje:

Co się tyczy prasy, to znamy bardzo dobrze, my Bośniacy i Hercegowincy, krótką jej historyę. Zaraz po okupacyi począł wychodzić w Sarajewie dla Serbów prawosławnych tygodnik „Prosvjeta“. Liczba abonentów tego pisma spadła w końcu na siedemdziesiąt, więc wydawnictwa zaniechano po roku. Na miejscu tegoż począł wychodzić w tym samym duchu „Napredak.“ Miał on tendencye uczciwe, ale za wiele zajmował się sprawami religijnemi prawosławia, więc do siebie zniechęcił Serbów mahometańskich i katolickich. „Napredak“ głosił, że prawosławie jest ściśle z narodową ideą serbską związane, że jest wiarą najlepszą i jedyną na świecie (da je pravoslavna vjera najbolja i jedina na svijetu), to też w krótce „Napredaka“ nie stało. Obok tego pisma począł wychodzić w Mostarze „Glas Hercegovca“ rzymsko katolicki, a redaktorem jego został obecnie redaktor dawniejszego „Napredaka!“

W tym samym czasie założyli mahometańscy Serbowie w Sarajewie „Bosznijaka“, obecnie dogorywającego.

Wszystkie te pisma nie pracowały wcale w kierunku zbliżenia się wszystkich Serbów bez różnicy wiary. Z pism beletrystycznych mamy dotąd dwutygodnik „Bosanska Vila“. Pismo to zajmuje się również kwestyami politycznemi i socyalnemi. Założona przez rząd „Nada“ obliczoną jest na to chyba, aby w Serbii obok Zagrzebia, Białogrodu i Lublany jeszcze jedno stworzyć centrum, celem rozbicia naszego....

K.

Henryk Rochefort.

Wreszcie i Henryk Rochefort doczekał się amnestyi. Powrócił znowu dans sa bonne ville de Paris, gdzie przyjaciel jego spowodował nawet trochę hałasu. Zaledwie sześciu lub siedmiu deputowanych i kilku senatorów głosowało przeciwko prawu, wracającemu wygnanemu po raz drugi wielką ojczyznę: Francyą, i małą, również mu drogą ojczyznę: bulwar. Osobiście, jestem zachwycony ułaskawieniem p. Rochefort. Nie pozwalam sobie nazwać wyroku, któremu przed laty uległ nielegalnym; ale sędziowie wydający wyrok zgrzeszyli brakiem filozofii, co ich znów pociągnęło do rozminięcia się nieco z sprawiedliwością.

Nazwałbym to wyższą sprawiedliwością nie uważać p. Henryka Rochefort jako niebezpiecznego dla państwa spiskowca, gdy on właściwie nie jest wstanie być niczem innem jak agitatorem, co z punktu widzenia odpowiedzialności legalnej, jest zupełnie co innego. Byłoby było rozumnem, nie zasadzać na wygnanie dyrektora „*Lenterne*“, który, gdyby się było boulanżyzmowi powiodło, byłby go z pewnością w przeciągu sześciu tygodni znalazł niemożliwym.

W r. 1870 należał do składu rządu prowizorycznego, który go mianował prezydentem komisyi barak. — Co jest zabawnem w tej historyi to to, że Rochefort po bardzo krótkim przeciągu czasu stanął do walki (pióro zastępowało tu noże) z trzecią częścią swych kolegów; i zaufaniem swojem darzył jedynie Trochu, tego

---

— W takim razie mieć będziemy naturalnie córkę i nazwiemy ją Manią.

Pani Marya wstała, podeszła do mężusia i pogłaskała go białemi rączkami po twarzy. On ucałował te białe rączki. Po chwili pili herbatę.

— Ale! — zawołała pani Marya, odkrywając nową głębię w kwestyi, którą Edzio uważał za rozstrzygniętą. A jak będzie drugie imię?

— A prawda! — rzekł Edzio. Nie pomyślałem o tem.

— Przerzućmy kalendarz! — poradziła pani Mania.

— Wybornie!

Niestety na nowem gospodarstwie brakło kalendarza. To oddziałało zniechęcająco na studyowanie tej kwestyi. Zaprojektowano kilkanaście imion z pamięci, pomiędzy któremi pare znaleziono godnych tego, aby uświetniło je przyjęciem ich dziecko, ale wyboru żadnego nie zrobiono.

Na pierwszego Edzio, załatwiwszy z pensyi drobne sprawunki, przyniósł do domu książkę jakąś.

— Co to? — zapytała Mania, biorąc ją w rękę.

— Kalendarz.

— I tegoroczny. Przecież to już listopad. Trzeba było kupić przyszłoroczny.

— Prawda, nie spostrzegłem się. Ale mniejsza o to...

Wziął od niej książkę i odnalazł spis imion.

— Patrz — rzekł, pokazując na długie szeregi imion — wybierzemy.

Przy obiedzie przeglądał spis, nie przestając jeść jednocześnie. Po ostatniem daniu, Mania, oparłszy się łokciami o stół, pochyliła główkę nad kalendarzem.

— Na *a* — rzekł Edzio — naprzykład Armand.

— E! pretensyonalne.

— Amadeusz.

— Idź-że ze swojemi imionami.

— Szukam takiego, coby pięknie brzmiało.

— Jużbym wolała Bronisław.

— Bronisław? nigdy! Miałem kolegę Bronisława. Nizki, brudny charakter; zrobił mi wiele złego... Nie... nie... nie chcę.

— To może Czesław. Bardzo ładne imię.

— Czesław. Ale jak tu spieszczenie wołać Czesio! Czesio! to przypomina czesanie. Nie, zaczekaj, ja znajdę.., Karol. Bardzo ładne. Karol, Karolek. Lolo.

— Ach nie, nie. U nas na pensyi był lokaj Karol; obrzydliwy, pijanica i gbur taki. Przypominałby mi go...

— Więc Konrad.

— Za pretensyonalne.

— Eh, u ciebie wszystko pretensyonalne No, a Michał...

— Teraz każdy stróż nazywa się Michał.

Nie mogli dojść do żadnego porozumienia się. To Edzia trochę zniecierpliwiło; oddał Mani kalendarz i położył się na kanapie dla odbycia poobiedniej drzemki.

Upłynęło kilka miesięcy. Pewnego razu Edzio przyniósł jakąś książkę.

Pani Mania natychmiast przeczytała tytuł i położyła ją na biurku męża.

— Widziałaś, Maniu, tę książkę? — zapytał Edzio po chwili.

— Widziałam.

— I wiesz co to jest?

— Coś tam o wychowaniu.

— Jak to! coś tam o wychowaniu — rzekł rozdraźniony — to wcale nie jest coś tam o wychowaniu, ale znakomite dzieło Spencera „O wychowaniu fizycznem, moralnem i umysłowem“. Przyniosłem to dla ciebie.

— Dla mnie?

— Tak: Przeczytaj to sobie uważnie, a czego nie rozumiesz, to ja ci...

— I cóż ty myślisz, że ja będę z książki wychowywać dzieci?

— Myślę to — odrzekł Edzio ze spokojem, którym przykrywał irytacyę.

— Mnie wychowano bez książki i dzięki

mistycznego politechnika, który z pewnością w całej Francyi był najmniej zdolnym do myślenia o barykadach i o wojnie prowadzonej inaczej jak podług przepisów zalecanych przez książki. — Dymisyonowany i powaśniony z rządem prowizorycznym, Rochefort musiał powitać z entuzyazmem nastanie Komuny. Trzy tygodnie potem wymyślał na komunę i porównywał Rząd Rewolucyjny do zgromadzenia Karaibów, co nie przeszkodziło sądowi wojennemu wyekspedyować go do Numey. Jest to jeden z smutnych paradoksów znaczących wojny domowe, że ludzie są częściej sądzeni za przekonania dawniejsze, jak za uczynki chwili. Henryk Rochefort uległ właśnie takiej anormalności. Powróciwszy po doczekaniu się amnestyi do Francyi, nie miał nic spieszniejszego jak zbliżyć się do generała Boulanger, to jest do rządu indywidualnego — gdy całą swą olbrzymią popularność genialnego pamflecisty zawdzięczał tej jednej idei, że trzeba zniszczyć w Napoleonie IV rząd indywidualny. W gruncie, człowiek ten tak zdolny, którego naiwność jest zarazem i wdziękiem i wytłomaczeniem, a który wydrwiwanie przesądów burżuazyi uczynił niejako swem rzemiosłem, umieścił całą swą działalność polityczną w słynnych słowach Prudhomme'a, wskazującego na szablę, mającą bronić instytucyi społecznych, a w danym razie — burzyć takowe. Bo zrozumieć to trzeba, że ten szyderca o wielkim talencie, nie lest wcale inteligencyą filozoficzną lub polityczną, tecz poprostu tylko cudownym „temperamenem“. Te dziwne jego przekonania, którym, — to dodać trzeba na jego pochwałę — osobisty interes był zawsze obcym, nie są owocem mózgu zastanawiającego się lub charakteru odważnego, jaki posiadają ci ludzie tak często niesłusznie ganieni, których doświadczenie doprowadza do zmiany opinii, i którzy w burzach politycznych ujrzą czasem nagle przyszłość w świetle błyskawicy oświecającej świętemu Pawłowi drogę do Damaszku — Henryk Rochefort nie pasyonował sie nigdy dla idei, lecz zawsze tylko dla jakiejś lub przeciwko jakiejś osobistości. To wszystko, co jest abstrakcyą lub nieosobistością, jest dla niego niedostępnem. Brak sprawiedliwości w jego umyśle, który go popchnął nieraz do okrucieństw słowa, do lekkomyślności w oskarżeniach, do uporu w zawziściach jest właśnie wynikiem tej radykalnej niezdolności do idei abstrakcyjnych. Nigdy zrozumieć on nie mógł tych głębokich słów kościoła, jednych z najpiękniejszych i najwznioślejszych, jakie dane były ludzkości, że „nienawidzieć trzeba grzech, a nie grzesznika.“

Gdyby p. Rochefort mógł być „myślicielem, ulb chociażby tylko człowiekiem partyi o pewnej karności byłby pewnym miejsca w historyi, jako jeden z największych, jeżeli nie największy pamflecista języka francuskiego — gdyż jeżeli w jego prozie można nie lubić klinklinów trącących wodewilem, jądro języka jest zawsze przepysznej siły i czystości. Nieszczęściem dla niego, nie ma w nim żadnej doktryny, chociażby tylko uczuciowej, a przecież przez doktryny to lub przez uczucia ludzie są prawdziwie wielkimi. Można nieomal powiedzieć o jego pamfletach, że są à passe-partout, i że zmieniając w nich tylko nazwiska, mogłyby służyć p. Persigny do zaczepiania republikanów równie dobrze, jak posłużyły republikanom do zabicia bonapartyzmu. Nadano p. Rochefort przeróżne przezwiska, i jest to dowcip dosyć nieszczególny porównywać go z clownem, który się z sceny wycofał zestarzawszy się i nabrawszy tuszy. Co do mnie chętnie widzę Mefista *fin de siècle* — gdy w katalogu szatanów Mefisto jest uosobieniem przeczącego rozumu. — Ten duch, ten instynkt przeczenia, są właśnie gruntem istoty umysłowej Rocheforta. W braku innej ofiary on gotów drwić z siebie samego.

Nerwowy jak kobieta, do najwyższego stopnia wrażliwy, zdolny do wszelkiej uczuciowości w ciasnem kółku swych najbliższych, ale zapoznający ten najwyższy stopień sprawiedliwości, zwący się „dobrocią“, ten dziwny człowiek wyrządził, zdaje mi się, wiele złego, nie domyślając się tego wcale i bez żadnej dla siebie korzyści. Kto wie, czy już chwilami nie poczuł, że ten zmysł burzący, któremu chwałę swą zawdzięcza, nie jest jak owa mitologiczna szata paląca ciało... Teraz, gdy znów powrócił, wszyscy pytają ciekawie, jak się wycofa z trudności, które go tu czekają. Rochefort adoruje popularność, a nienawidzi tłum. Jakim sposobem potrafi pierwszą zachować nie zbliżając się do tłumu?

Od kryzysu boulanżowskiego powstała tu rewolucya w umysłach, która mogła ujść walki Rocheforta, zamkniętego w swem artystycznem ustroniu. Demokracya skrajna, na którą się powoluje i która się na niego ogląda, przesiąkła powoli tu duchem mistycznym, i żąda dziś od swych przewódzców wyglądu apostolskiego — rzecz, która może mocno zdziwić Paryżanina bulwarowego, namiętnego zwolennika wszelkich zbytków. Tołstoj zepsuł rzemiosło agitatora fabrykując chodaki. Lud zaczyna żądać, by jego roznosiciele słowa nie zachowali nic z tego wykwintu, który mu się wydaje konsekracyą, rezultatem i powodem utrzymywania się niesprawiedliwości socyalnych. Ludwika Michel stoi mu bliżej i będzie z pewnością więcej słuchaną jak bywalec opery. Może amnestya sprawiając Rochefortowi łatwą do zrozumienia radość, stworzy dla niego niespodziewane niebezpieczeństwa. I kto wie, czy spędziwszy życie na skarzeniu się na niesprawiedliwość możnych, nie dojdzie na starość do utyskiwania na niewdzięczność tłumu, nie będąc zdolnym pojąć tego prawa wyższego, które wymaga, by kwiat zniknął, wydawszy swój owoc, i by burzyciel został zapomnianym gdy to, co miało być zburzonem runie, — jak się w kąt rzuca szpadę, wyszczerbioną w walce!

Nesto (*Echo de Paris*).

LITERATURA I SZTUKA.

USTRONIE.

Tam w ustroniu, w głębi lasu,
Gdzie rzeczułka wstęgą płynie,
Zdala gwaru i hałasu,
W zadumanej śnię gęstwinie.
Tam uroczo, malowniczo,
Tam tak cicho, uroczyście,
Bez szelestu, tajemniczo
Wiatr majowy pieści liście.
W koło pełno barw i woni,
Kwitną wrzosy i czeremchy,
Po kamieniach strumyk goni,
Po kamieniach zdobnych we mchy.
W srebrna falę zapatrzony,
Jak z kamieni perły krzesa,
Słucham brzozą ocieniony,
Co konary w wodę zwiesza.
W toni czasem rybka pluśnie,
Lub jaskółka zwinna, lekka,
Szybę wody skrzydłem muśnie,
Zaświergoce i ucieka...
Mój uroczy kącik w lesie
To królestwo moich marzeń,
Lasu szmer natchnienie niesie,
Szmer strumyka falę wrażeń.
Dzięcioł gdzieś o sosnę stuka,
Serce trwożne czasem stanie,
Kukułeczka z dębu kuka,
A ja liczę to kukanie.

Bogu dobrze, to i ja potrafię także dobrze wychować.

— Babskie gadanie.

— Niech sobie będzie babskie gadanie.

— Ale ja cię proszę, Maniu, ażebyś przeczytała tę ksiażkę.

— Nie mam czasu.

Rozmowa w dalszym ciągu stała się sprzeczką, sprzeczka zamieniła się w kłótnię.

— To i lepiej — wołał Edzio — że nie mamy dzieci. Nie umiałabyś ich wychować!

— Pewno, że lepiej — odpowiedziała Mania — poprzewracałbyś im w głowie.

Na zakończenie tej konferencyi trzaśnięto parę razy drzwiami.

Nazajutrz powtórzyła się sprzeczka. Edzio koniecznie pragnął przekonać żonę o korzyściach umiejętności wychowywania. Mania przekonać się nie dawała.

Upłynęło znowu kilka miesięcy. W czasie tym znakomite dzieło angielskiego filozofa wiele razy zasypywało chmurami pogodny horyzont domowego pożycia.

Pewnego razu Edzio znowu dotknął tej drażliwej sprawy.

— Wiesz, Maniu — rzekł, — że nasze bobo mogłoby już mieć prawie rok.

— Co ty mowisz? — szepnęła zdziwiona.

— A no policz.

Policzyła.

— Prawda — odrzekła trochę smutnie. — Jużby umiało się nawet przeżegnać.

Edzio utopił w żonie wzrok nieco szyderczy.

— Co? przeżegnać? — rzekł — I ty myślisz, że jabym pozwolił może na chrzest, na uczenie katechizmu? co?!...

— O! jabym się ciebie o to pytała!

— Jabym kierował jego wychowaniem.

— Chyba, że y to nie było m o j e dziecko.

— Nie wolnoby ci było się wtrącić.

— Wychowałbyś je — na pociechę kryminału.

— Zrobiłbym z niego dzielnego i postępowego człowieka.

— Nie pozwoliłabym ci mówić do niego.

— Oho! nie wiem, kto ma większe prawa do dziecka.

— Zobaczylibyśmy. Wzięłabym separacyę..

— Z rozkoszą...

— I dziecko zostałoby przy mnie. Ty mógłbyś je widywać tylko raz na tydzień.

— Do lat siedmiu, duszko, do lat siedmiu tylko — krzyczał — byś używała...

— Lepiej, że nie mamy dzieci!

— A lepiej! lepiej! lepiej!

Rozpoczął się niespokojny bardzo okres w życiu dwojga małżonków...

Sprawa wychowania dziecka bardzo często była poruszaną. Im więcej wszakże o tem mówili, im więcej rozwijali i rozjaśniali swoje poglądy, tem bardziej oddalało się jedno od drugiego.

— Ja nie ustąpię — mówił pan Edzio — teraz świat potrzebuje ludzi postępowych. Zapleśniałe formułki i nieuzasadnione wierzenia powinny zniknąć z powierzchni ziemi.

— Nawet nie będziesz wiedział, kiedy je ochrzcą — odpowiadała na to pani Mania.

Rozdraźnienie, wywołane tą sprawą, psuło zgodę ogólną. Upragniona a nie istniejąca istotka rozdzielała dwoje małżonków. Pani Mania odzywała się do męża opryskliwie, pan Edzio zaczął wieczory przepędzać po za domem. Każde ich spotkanie się za wspólnym stołem zakłóconem było choćby kilku przycinkami. Burze domowe bywały częste.

Nieraz, w chwilach lepszego usposobienia zastanawiali się oboje nad przyczyną tego chłodu, który powiał na ich serca i ostudził wzajemną miłość; czuli przytem pustkę jaką w życiu, którą dawniej wypełniało im przywiązanie wzajemne.

— Dzieckaby nam potrzeba — decydowało jedno.

— Tak, toby nas połączyło nawet — dodawało drugie.

Dwa, pięć, dziesięć — pleciesz baśnie,
Nadto, nadto mój proroku,
Gwiazda mego życia zgaśnie,
Nie doczekam, — końca roku.
Nie doczekam, — coś mi szepce,
Długich lat mi nie wróżono,
Kiedym dzieckiem był w kolebce,
Ha, czyżby się pomylono?

Cudne dzionki w mem ustroniu,
Niemniej piękne letnie noce,
Gdy z pod lasu tam na błoniu
Pasikonik zaświergoce.
W koło ciszy nikt nie mąci,
Chyba żaba zarechoce,
Chyba z drzewa wiatr liść strąci —
O, cudowne takie noce!
Wtenczas fala wspomnień płynie,
Marzeń mych otwarta księga,
Marzeń, dumań o dziewczynie,
Barwnych jako tęczy wstęga.
Ponademną dach gwiaździsty,
Niemych drzew w około cienie,
Z nieba księżyc pozłocisty
W wodę rzuca swe promienie.
Na promieniach jego wzlata
Duch mój aż pod niebios progi,
Serce pasmem dum oplata,
W duszę spływa pokój błogi.
O północy z fal powstają
Eteryczne wód boginie,
W blasku tańczą i pląsają,
Aż za chmurą księżyc zginie...
Cuda mógłbym opowiadać
O nadziemskich tych zjawiskach,
Jak na kwiatach lubią siadać
I słodycze z nich wyciskać,
Jak wśród lasu na polanie
Po kąpieli wiodą tany,
Z jakich kwiatów ich ubranie...
Lecz obawiam się nagany.
Niedyskretność wielka wada!
Dziś krytycy tacy cięci...
Nie, mnie pisać nie wypada,
Co wśród bogów tam się święci!
Idźcie sami, jeźli chcecie,
Ciepłą nocką tam w ustronie,
A najlepiej się dowiecie,
Co się święci w bogów gronie.

Witold Leitgeber.

Jeszcze o restauracyi ruiny kościoła Najśw. P. Maryi

w Inowrocławiu.

Pomiędzy wiadomościami potocznemi dzienników naszych czytaliśmy niedawno wiadomość następującą:

— * Nagląca sprawa budowy nowego kościoła w Inowrocławiu dla tego wcale nie postępuje, bo odnośne władze z życzeniami parafian co do miejsca pod budowę nie mogą przyjść do porozumienia. Parafianie w przeważnej części życzą sobie, aby nowy kościół stanął na ruinach starożytnego kościoła Panny Maryi — rząd zaś chce ruinę zachować, a kościół na innem miejscu wystawić. Najprzew. ks. Arcypasterz uznał pośrednią drogę za odpowiedniejszą, a plan na jego życzenie przez budowniczego berlińskiego, prof. Ricklaka, wygotowany, miał pogodzić obie strony. Kościół miał stanąć na starym cmentarzu, z ruin miała być zbudowaną fasada, a wieże w dawnej wysokości stanowić miały front kościoła. Minister oświecenia p. Bosse jednak nie potwierdził tego planu i kościoła Panny Maryi, jako starożytnego zabytku sztuki, ze względów archeologicznych rozwalić nie pozwolił („Dziennik P.“ z d. 14/2. 95. Nr. 37.)

Wymowna to ilustracya do poprzednich artykułów „Przeglądu Pozn.“ traktujących „o publicznych zadaniach naszych architektonicznych“. Ponieważ zaś spór toczy się o jeden z najpoważniejszych naszych zabytków XII wieku, postaramy się przeto zapoznać bliżej czytelników z przedmiotem samym i dotychczasowym przebiegiem sprawy, dołączając do tego od siebie różne propozycye i uwagi, które na podstawie pomiarów i zdjęć na miejscu dokonanych poczynić będziemy mogli. Żałować należy, iż o tak interesujących nasze społeczeństwo rzeczach rzadko kiedy dostaje się coś dokładniejszego wcześniej do wiadomości publicznej, gdyż przez omówienie wszechstronne sprawy podobnej, czy to w towarzystwie jakiem, czy też w prasie łatwiejby nieraz dojść można do odpowiedniejszego rozwiązania trudniejszych zadań.

Każdemu wyjeżdżającemu z Inowrocławia gościncem toruńskim podpadnie na końcu miasta wśród zieleni cmentarza poważna na szerokim pagórku wznosząca się ruina starego kościoła o 2 wieżach, którego mury zewnętrzne sterczą j szcze na jakie 6 metrów, a jedna z wież nawet na 20 metrów ponad ziemią. Są to imponujące resztki pięknego niegdyś kościoła, ktory w r. 1834 zgorzał i od tego czasu nie został odnowiony. Ruina zorientowana w kierunku linii świętej tj. od zachodu na wschód składa się z 4 części i to uwzględniając tylko miary zewnętrzne:

1) z prostokątnego presbyterium 7,3 długiego i 7,15 szerokiego,

2) z nawy 21 m. dług., a 14,5 m. szer.

3) z głównego przedsionka na przodzie pod pod dwoma wieżami 16,45 m. szer. i 6,45 dług.,

i 4) z głównego przedsionka 3,6 m. szer. 3,0 m. dług.

Mury nawowe i mury w części prezbyteryalnej, jako też w dolnej części wieży są z polnego kamienia w kostkę starannie obrobionego jak to u niewielu naszych t. z. Duninowskich kościołów widzieć można. Górna część wież frontowych i większa część murów prezbyteryalnych, jako też boczny przedsionek są w cegle palonej wykonane i pochodzą zapewne z różnych dat późniejszych. Obramowania 8 otworów okien nawowych są również z późniejszego czasu; jak zaś pierwotne okna wyglądać mogły, sądzić można z obramowań 2 okienek prezbyteryalnych, które się z ukośnie w polnem kamieniu obrobionych glifów składają. Dwoje drzwi zewnętrznych zachowało swe pierwotne pod prostym kątem w kilku odstępach cofające się obramowania z obrobionego kamienia polnego. Wszystkie otwory ruiny są półkolem zasklepione i noszą na sobie cechę najsurowszego stylu romańskiego. Przy drzwiach od północnej strony do kościoła prowadzących widać na obrobionych kamieniach kilka powykuwawych twarzy ludzkich, które domyślni archeologowie za pochodzące z czasów pogańskich uważać by chcieli; prawdopodobnie zaś będą one tylko dość nieudolnemi ćwiczeniami dłuta kamieniarzy XII wieku. Na innych kamieniach ścian zewnętrznych widać wykute krzyże, przypominające formą swą krzyże maltańskie.

Nawa kościoła musiała mieć poziomy pułap drewniany, podparty zapewne drewnianemi słupami; prezbyterium zaś przedłużone z pewnością później podczas panowania już u nas gotyzmu było sklepione, jak o tem z pozostałych resztek konzoli podchwytujących nasady żeber wnioskować należy. Nadto w głównym przedsionku pod wieżami zachowały się jeszcze nieźle osobliwe w naszych stosunkach krzyżowe sklepienia z nieobrobionego kamienia polnego, tylko dobrą zaprawą wapienną ze sobą spojonego. Że wogóle zaprawa w tych starych murach — zwłaszcza między polnemi kamieniami, jest wyborną, dowodzi już to samo, że ruina ta bez dachu i przez 60 lat wystawiona na wszelkie wpływy powietrza dotąd się dobrze utrzymała.

— Tak, ale jakbyś zaczął mu przewracać w głowie...

— A ty jakbyś zaczęła wpajać w nie bigoteryę...

Płynące lata podsycały pragnienia i gasiły nadzieje.

— Bo to, widzisz Maniu — mówił pan Edzio wy kobiety, to nie jesteście w niczem umiarkowane. Ja nie powstaję przecież na religię, ale wymagam tylko, aby rozwijała ona w dzieciach uczucia, nie wnosząc do umysłów takich wiadomości, któreby tamowały naturalny rozwój umiejętności myślenia. Ale u was, to wiara znaczy to samo co i bigoterya, wierzyć, to znaczy modlić się sto razy na dzień... Ja pragnę dziecko wychowywać porządnie.

— A wy to tylko w rozum wierzycie i i w nic więcej. To też teraz coraz więcej interesówności w ludziach. Wszystko w głowie, a nic w sercu. Dla każdego pieniądz jest jedynym ideałem. Nie chciałabym, żeby moje było materyalistą. Pragnę, żeby dziecko wychowane było po ludzku, rozsądnie...

Pewnego pogodnego dnia pan Edzio i pani Mania siedzieli na ławce w Saskim ogrodzie.

— Co to za rozkosz mieć dzieci — szepnął smutnie pan Edzio.

— Pan Bóg nie błogosławi — odrzekła pani Mania.

— Moglibyśmy mieć już gimnazistę.

— Albo pensyonarkę.

Żeby to tak spotkało nas to szczęście jeszcze.

— Ty byś wybrała mu imię, moja Maniu.

— Przystałabym na twój wybór, mój Edziu.

— Rozwijałabyś w dziecku charakter, wpajałabyś zacne uczucia.

— A ty byś dopomagał mi czytaniem książek pedagogicznych.

— Musiałoby ciebie bardzo kochać.

— I ciebie i ciebie.

— Pana Alfonsa zaprosilibyśmy na chrzestnego ojca.

— A panią Edmundową na chrzestną matkę.

KONIEC.

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.*)

(Tłum. **H. St.**)

Redaktor paryzkiego „Revue des Revues“ przysłał mi wycinki z dwóch gazet francuzkich, przeczuwając, iż scharakteryzowanie spółczesnego nastroju umysłowego przez dwóch słynnych autorów wzbudzi we mnie żywe zajęcie. W jednym z tych wycinków znalazlem „przemowę Emila Zoli do młodzieży“ — w drugim „list Aleksandra Dumasa“ do redaktora „Gaulois“. Wdzięczny jestem p. Smith za tę przesyłkę, gdyż obydwa te dokumenty — już ze względu na reputacyę literacką ich autorów

*) Podajemy czytelnikom naszym głośną odpowiedź hr. Tołstoja na apoteozę pracy i nauki zawartą w słynnem przemówieniu Zoli do młodzieży francuzkiej. Nie godząc się pod wielu względami na treść rozprawy; zamieszczamy ją mimo to w piśmie naszem w streszczeniu dla poznajomienia szerszej publiczności z ideami rosyjskiego pisarza, w których obok pewnej jednostronności i dziwactwa znajdują się często nowe i zdrowe poglądy. Przyp. Red.

Zastanawiającem jest skąd budynek ten od samego początku założony był na 2 wieże frontowe, jakby był kościołom opackim albo też przynajmniej kolegiackim, gdyż tylko przy takich było w średnich wiekach przyjętem, aby 2 wieże stawiać od frontu, zwykłe zaś kościoły parafialne jedną wieżą zadawalniać się musiały. Jedna z tych wież, południowa, zachowała się przy podanej wyżej wysokości jeszcze dobrze; druga zaś — północna jest o jakie 8 metrów niższą i na wszystkich widocznych bokach od góry do dołu na wskroś popękana. Obydwie wieże zaopatrzone były aż do ostatniego pożaru renesansowemi hełmami cebulastemi, jak o tem ze starych rycin przekonać się jeszcze można.

W tym stanie znajdująca się już od 60 lat ruina wywierała na każdego archeologa lub architekta wrażenie i pobudzała o ile nam wiadomo — od 30 lat już wielu do wzywania litości Kujawiaków, ażeby tę prastarą świątynię Pańską, do której przywiązane są podania o klątwach rzucanych w niej na Krzyżaków i t. p., w godny sposób z gruzów podnieśli. Z Polaków jako jeden z pierwszych podniósł publiczny głos w tym względzie zasłużony archeolog J. Łepkowski z Krakowa w wydanych w r. 1866 „Zabytkach Kruszwicy, Gniezna, Inowrocławia“ i t. d. uważając za ubliżające dla bogatych Kujaw naszych, iż tak cennych zabytków z zamierzchłej przeszłości nie starają się w odpowiednim utrzymać stanie, i wzywając do restauracyi ruiny — ale bezskutecznie.

Następnie ukazał się z pióra profesora krakowskiego p. Łuszczkiewicza zgodny z rzeczywistością opis i rysunki ruiny w „Pamiętniku akad. umiejęt. w Krakowie tom III z r. 1876.“ Z niemieckich utworów pierwszy dał opis ruiny Nowag w „Zeitschrift Bauwesen“ z r. 1872 i zainteresował nią rząd królewski o tyle, iż porobiono z niej nawet fotogrametryczne zdjęcia i ustawiono w r. 1876 szkice i kosztorys w przybliżeniu z zamiarem odrestaurowania ruiny.

Na tem poszła sprawa tak długo w zapomnienie, aż się koło r. 1890 okazała dla Inowrocławia coraz większa potrzeba drugiego kościoła, gdyż dotychczasowa fara wielkiej ilości wiernych pomieścić już dłużej nie mogła. Natenczas powstała pomiędzy parafianami inowrocławskimi nieszczęsna myśl pozbycia się szacownej ruiny, aby *na jej miejscu* wystawić nowy kościół, — jakby w rozległe rozbudowanym Inowrocławiu innego już pod kościół miejsca znaleść lub kupić nie było można: te gładko w kostkę obrobione granity ruiny nęciły widać bardzo do zużycia przy nowej budowli. Wtedy to nadarzyła nam się pierwszy raz przypadkowo sposobność zapoznania się z tym cennym zabytkiem naszego budownictwa i ze zgrozą usłyszawszy o tak niezgodnych z nowoczesnemi zapatrywaniami zamiarach rozpisaliśmy się, choć nie obeznani jeszcze, z tem co o tym zabytku do owego czasu publikowano, jedynie z własnego poczucia, kilkakrotnie w r. 1890 i 91 w codziennej prasie naszej przeciwko myśli rozebrania ruiny. Przytem stawiając pewne propozycye do odrestaurowania, wyraziliśmy w jej obronie stanowczo przekonanie, iż należałoby poruszyć wszystkie sprężyny i zażądać opinii naczelnego rządowego konserwatora zabytków sztuki przed naruszeniem tej poszanowania godnej ruiny: za święty obowiązek bowiem powinnibyśmy sobie uważać, aby nie dopuścić do usunięcia znowu jednej ze starożytnych większego znaczenia pamiątek, których i tak w naszych okolicach jest aż nazbyt mało.

W kwartał po naszym artykule, w tej materyi ostatnim, wyczytaliśmy ku wielkiemu zadowolnieniu w ministeryalnym „Centralblatt der Bauverwaltung“ podobne zdanie tutejszego inwentaryzatora zabytków architektonicznych pana Kohtego. Oświadczył i on się stanowczo przeciwko nieuzasadnionym zakusom rozbierania tak cennej ruiny i rozwodząc się nad jej wielkiem dla naszej dzielnicy znaczeniem w historyi sztuki budowniczej, nawoływał mieszkańców Inowrocławia do należnej wdzięczności dla rządu, który opierając się na dawniej w r. 1884 wypowiedzianem orzeczeniu konserwatora państwowego ruinę jako taką w pięknem otoczeniu zieleni cmentarza zachować i przed dalszem niszczeniem zabezpieczyć pragnie. Zdziwiła nas wszakże przedwcześnie wyjawiona przez p. Kohtego wątpliwość, jakoby w razie rzeczywistej chęci odrestaurowania nie można ruiny w odpowiedni i zadowalniający sposób połączyć z nowo pobudować się mającym kościołem.

Wiadomo, iż po tym czasie Inowrocławianie udawali się do różnych wpływowych osobistości z prośbą o poparcie ich rozbiorowych zamysłów u najwyższej instancyi, a nie wiemy nawet czy propozycye nasze z zamiłowania do sprawy przedłożone swego czasu miarodawczym kołom były przedmiotem jakiejkolwiek dyskusyi. W biegu innych zajęć zapomnieliśmy zgoła o całej sprawie; trzeba było dopiero wyżej przytoczonej wieści o owej „drodze pośredniej“, o której dyskusyę po doznanej odprawie rządowej uważać możemy za ukończoną, — trzeba było dopiero nadesłanych nam objawów wstydu i oburzenia od kolegów, mniemających, iż ze strony polskiej dotąd w tej sprawie nic się nie zrobiło *odpowiedniejszego*, ażeby nas spowodować do wyświecenia całego przebiegu sprawy i ponownego zabrania głosu celem powtórzenia naszego dawnego „ceterum censeo“, które postaramy się sformułować w zarysie, o ile to bez znajomości opracowanych dotąd projektów jest możliwem.

Rozmiary ruiny są tak wielkie, iż wnętrze jej z przybraniem przedsionka pod wieżami pomieścićby mogło około 700 nabożnych; co po nadto miejsca okazałoby się potrzebnem, możnaby uzyskać przez dobudowanie nowego skrzydła do starego kościoła, który to ostatni tak, jak był pierwotnie, na wyłączną cześć NPMaryi mógłby pozostać przeznaczonym. Zewnętrzne mury ruiny należałoby podnieść tylko do takiej wysokości, jak były pierwotnie, a dach założyć tak wysoki, jak tego ślady widać jeszcze na tylnych ścianach wież obydwóch. Z tych ostatnich możnaby tylko jednę, która się bez pęknięć dotąd utrzymała, hełmem niezbyt wysokim zaopatrzyć. Nową część kościoła należałoby organicznie przyłączyć pod prostym kątem ku północnej stronie, gdzie cmentarz jest jeszcze najmniej zajęty grobami, do starej ruiny w ten sposób, iżby ta część, gdzie się znajduje druga niższa i popękana wieża, dla obydwóch części tj. nowej i starej była wspólną, — tak, że przez tę część komunikacya pomiędzy obu w ten sposób powstającemi skrzydłami kościoła odbywać by się mogła. Nowe wnijście do nowej części kościoła znalazłoby się pod prostym kątem do starego wnijścia głównego, któreby pozostało nietknięte, równie jak i charakterystyczne stare wnijście od strony północnej do ruiny prowadzące. Również kwestya zastosowania jednego ze średniowiecznych stylów, jakiby wybrać należało, nie powinna zbyt wielkich przedstawiać trudności; byleby za podstawę rozwiązania się przyjęło, ażeby nowsza część za wielką pomiarką na starszą część nie oddziałała przygniatająco. W ten sposób wzbogacilibyśmy zabytki nasze o jednę wielce charakterystyczną i malowniczą grupą połączonego ściśle starego kościoła z nowym, którаby w późne wieki o czci przez nas należnej i oddanej starożytnym zabytkom naszej przeszłości chlubnie świadczyła.

Nie byłoby tutaj na czasie bez bliższych danych, a mianowicie bez rysunków zapuszczać się w rozwijanie dalszego programu do tak interesującej restauracyi tego rodzaju rozbudowania; w razie przyznania słuszności zapatrywaniom naszym służyć byśmy mogli analogicznym przykładem, gdzieindziej w podobny sposób ku zadowolnieniu ogólnemu już wykonanym. Oddając tę przewodnią ideę naszą w interesie sprawy do użytku kół interesowanych, wyrażamy w końcu to mocne przeświadczenie, iż w obec projektu w podany sposób prawidłowo przepracowanego i władza rządowa zapewneby od

---

— już to i dla tego, że noszą na sobie wszystkie znamiona czasu — już to wreszcie z tej podług mnie najważniejszej przyczyny — że każdy z nich stoi na odrębnem stanowisku — zainteresowały mnie wielce i nasunęły mi różne myśli, które tu wypowiedzieć pragnę.

Zola gromi surowo nowych mistrzów wiedzy za to, iż pragną w młodzież wpoić wiarę w nieokreślone, niepewne dogmaty. I ja na to zgadzam się w zupełności. Lecz niestety Zola również na swój sposób pragnie wszczepić w serce tej młodej drużyny wiarę w coś nieokreślonego, niepewnego — nakazuje jej ufać w wiedzę i pracę. Podług Zoli ta wiedza, w którą nie należy zaprzestać wierzyć — jest kwestyą rozstrzygniętą, — kwestyą, która stała się już pewnikiem. „Praca dla wiedzy!“ Lecz właśnie to słowo „wiedza“ jest pojęciem szerokiem, nieokreślonem. Jedni upatrują w niej rzecz niesłychanej wagi, drudzy — większa część ludzkości — klasa robocza — chrzci ją mianem „głupoty“. A mylnem okazałoby się twierdzenie, iż ostatnie to pojęcie wytworzyła sobie nieoświecona klasa robocza li tylko dla tego, że nie zdolna jest pojąć całej głębokości, całego ogromu nauki. Nie — uczeni również nie zgadzają się w swych zapatrywaniach. Bo, gdy podług jednych filozofia, teologia, prawo, ekonomia polityczna góruje nad wszystkiemi naukami, to według zdania innych, jak n. p. naturalistów, wszystkie te gałęzie wiedzy są rzeczą marną i nic nieznaczącą. I na odwrót. To, co spirituališci, filozofi i teolodzy uważają za zutrudnienie nieszkodliwe może wprawdzie, ale też nie przynoszące żadnego pożytku, to właśnie pozytywiści nazywają „wszechwiedzą“. Krom tego każdy system w jednym i tym samym zakresie ma swoich kapłanów, swoich gorących przeciwników, z których każdy wprost przeciwną postawi tezę, choć każdy z nich ma pewne podstawy do wiary w prawdziwość swego sądu. W każdej dziedzinie wiedzy istnieją doktryny, które przetrwają rok i dziesiątki lat, a gdy okażą się mylnemi puszczane są coprędzej w niepamięć przez tych, — co szerzyli ich propagandę.

Wiemy, że Rzymianie do retoryki przywiązywali wielkie znaczenie, że nazwali ją wiedzą, nią się chełpili i mianowali każdego, coby jej sobie nie przyswoił „barbarzyńcą“. A dziś śmiejemy się z tej biegłości w mówieniu i nietylko odjęliśmy jej zaszczytną nazwę „wiedzy“, ale nazwaliśmy ją wprost głupotą. Niemniej znaną jest rzeczą, iż scholastyka w wiekach średnich uchodziła za arcypoważną naukę, a dziś również się z niej wyśmiewamy. I tak będzie zawsze. Sądzę, iż nie potrzeba zbytniej przenikliwości i bystrości, by przewidzieć, że ta olbrzymia masa nagromadzonych wiadomości, uważana dziś za mądrość i wiedzę, stanie się pośmiewiskiem przyszłego pokolenia, które wzdrygnie pobłażliwie ramionami, skoro się dowie, z jakiem przejęciem i namaszczeniem oddawaliśmy się na swój sposób naszej retoryce i naszej scholastyce.

Ludzie spółcześni, pozbywając się jednych przesądów, chwytają się drugich niemniej szkodliwych i nieuzasadnionych od przesądów świeżo pozbytych. Zdaje nam się, że wiara Egipcyan w istnienie ptaka feniksa nie ma najmniejszego związku z wiarą naszą dzisiejszą w ukształtowanie się świata za pomocą materyi i walki żywiołów, w dziedziczność występków i zbrodni, w laseczniki przecinkowe, z których powstają rożne choroby, słowem przekonani jesteśmy, iż żadna nić wspólna nie łączy tych naukowych hypotez. Lecz to jest tylko nasze złudzenie. Przeobraźmy się tylko duchowo w Egipcyanina, który odebrał swą wiarę od swych kapłanów, wówczas przekonamy się, że ta prawda zasadnicza, na której on budował swą wiarę, jest nietylko podobna, lecz identyfikuje się całkiem z tą prawdą zasadniczą, na której my, ludzie spółcześni, budujemy najrozmaitsze systemy naukowe. Jak Egipcyanin w istocie rzeczy nie wierzył w istnienie Feniksa, tylko wierzył w ludzi, posiadających najdoskonalszą, człowiekowi dostępną prawdę, tak i my nie wierzymy w teoryę Darwina o dziedziczności, ni w laseczniki przecinkowe, tylko wierzymy w to wszystko, co nam kapłani wiedzy za prawdę podają. A nauka naszych kapłanów wiedzy jest również nam mało zrozumiałą, jak była

myśli zachowania w teraźniejszym stanie ruiny odstąpiła i projektowi zatwierdzenia swego nie odmówiła.

J. Rakowicz..

Witold Pruszkowski.

(Ciąg dalszy.)

Z fantazyjnych obrazów przypominam sobie jeszcze „Smoka“ i „Djabła zakochanego w wierzbie“. Pierwszy z nich bawił nawet u mnie przez kilka dni w gościnie, gdyż Pruszkowski był w nieporozumieniu chwilowem z Towarzystwem sztuk pięknych i z tego powodu chciał go wystawić w salach jednego ze stowarzyszeń. „Posyłam ci świeżo ukończone świństwo — pisał do mnie ze zwykłym sobie humorem — pokaż go narodowi, gdzie zechcesz, niech pada na twarz i głupieje.“ Obraz przedstawiał młodą dziewczynę w stroju rusinki w głębi jakiejś pieczary, przez której otwór wsuwała się olbrzymia jaszczurka pożądliwem okiem spoglądająca na swoją ofiarę. Ciało potwora było oddane z niesłychaną brawurą kotorystyczną; kto się bliżej w nie wpatrywał ten widział na łbie i grzbiecie czarne i żółte centki, zlewające się w podobiznę dwugłowego orła austryackiego.

„Djabła rozkochanego w suchej wierzbie“ nazwał Henryk Piątkowski uzmysłowieniem Szopenowskiego *nocturnu*. Na tle ciemnego wieczoru postać djabła tulącego się miłośnie do wierzby, była zarówno pełna fantazyi jak i humoru.

Inną fantazyą, ale głęboką na wskroś patryotyczną była „Unitka“. Zdala widać było na tle łuny pożaru kontury cerkiewki i chat wieśniaczych: Moskal tam palił, rabował, knutem i mordem zachęcał lud do dobrowolnego powrotu na łono prawosławia. Z tego piekła wyrwała się i uciekała raniona unitka przez pola pokryte śniegiem. Ale zabrakło jej tchu, a może upływ krwi ją osłabił, dość, że padła na ziemię, oświetlona łuną pożaru. Około jej głowy zaświeciła męczeńską aureolą trójkolorowa tęcza. Temat to był niesłychanie trudny do rozwiązania: na stu dobrych malarzy dziewięćdziesięciu dziewięciu stworzyłoby rzecz ckliwą, wymuszoną, jak wszystkie prawie fantazye na tle patryotycznem „Unitka“ Pruszkowskiego pomimo fantazyi, która ją zrodziła, była tak pełną prawdy męczeńskiej, była tak pięknem usymbolizowaniem najszlachetniejszego z bólów, że tłum patrzący na nią w skupieniu ducha stał w takiej prawie ciszy i takie słał westchnienia jak lud kiedy się schyla przed cudownym obrazem Najświętszej Panienki.

Po tych fantazyach nastąpiła „Niedziela kwietnia“. Grupa kobiet wiejskich stojących w zbitej masie, z pękami zioł w rękach, oświetlona przebijającemi się przez szyby promieniami słońa, dała pole artyście do wydobycia potężnego efektu. Obraz ten zaliczający się do lepszych prac Pruszkowskiego, znany jest z reprodukcyi chromolitograficznej, danej jako premium członkom krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych.

Ostatnim większym obrazem, jaki sobie przypominam są „Zaduszki“. Jest to poemat, złożony z trzech części, ujęty w jedne ramy. Część pierwsza tryptyku przedstawia na tle nieba i śnieżnej zamieci płynącą w przestworzu bieluchną, powiewną postać dziewczęcia, o pięknej i smętnej twarzyczce. Na drugiej, środkowej części obrazu, widzimy wnętrze wiejskiej chaty, oświetlone strugą światła księżycowego i czerwoną lampką, rzucającą blask na twarz siedzącej i śpiącej pod oknem kobiety. Przed nią stoi to samo dziewczątko białe, powiewne, ze złożonemi na piersiach rękoma: jest to duch zmarłego matce dziewczęcia. Trzecia część obrazu — to cmentarz; nad grobem rośnie brzoza smutna, bez liści, wokoło pusto i głucho, a taż sama, duszyczka“ spogląda smutnie przed siebie. bo lampka na jej grobie już gaśnie i trzeba położyć się na nowo w mogiłę. Jest to, jak widzimy śliczny poemacik, wyjęty wprost z serca ludu, albo tylko włożony w nie przez artystę.

Kończę ten spis poezyi, wymalowanych przez Pruszkowskiego. Zastrzegłem się z góry, przystępując do portretów malarzy krakowskich, że nie mam zamiaru ani zarozumiałości być krytykiem, że co najwyżej poprzestanę na zanotowaniu ogólnego własnego wrażenia. Więc też nie będę się rozwodził nad wartością artystyczną wymienionych prac Pruszkowskiego. Dość mi zaznaczyć, że spełnił pokładane w nim nadzieje, że może mniej zrozumiany przez ogół, cieszy się uznaniem pomiędzy znawcami i ludźmi swojego cechu“. Jeżeli kiedykolwiekbądź pomiędzy nimi jest mowa o największym talencie, to z pewnością jest mowa o Pruszkowskim.

A przecież to co wyliczyłem, jest tylko cząstką jego twórczości. Pominąłem nietylko niektóre obrazy olejne, a zwłaszcza portrety, ale i cały szereg innego rodzaju utworów. Trzeba przeto o nich wspomnieć choć ogólnikowo.

Rysunków jego, piórkiem kredką i ołówkiem jest moc wielka. Przez czas pewien, a będzie to temu lat trzy lub cztery, zabrał się do portretów węglem. W ciągu roku wykonał ich kilkanaście i jak mi mówiono, są to arcydzieła w swoim rodzaju. Widziałem z nich tylko dwa: pana Z. B. i Michała Bałuckiego. Jeżeli mi wolno sądzić, to opinia o nich istniejąca w kołach artystycznych jest najzupełniej uzasadnioną.

Przed rokiem prosił Pruszkowskiego p. Juliusz Mien, tłomacz Słowackiego na język francuski, aby mu naprawił uszkodzony pastel, roboty zmarłego syna. Pruszkowski wymawiał się, bo nigdy nie próbował malować pastelami. Wziął się wreszcie do roboty i zadziwił się, ile z tego niewdzięcznego na pozór materyału można wydobyć siły, efektu i tonów. Zapalił się więc do pasteli i zaczął rzucać na papier kompozycye. Cztery z nich posłał na wystawę lwowską, o czem już na początku niniejszego portretu wspominałem. Zdziwiły, zachwyciły. Salę w ktorej były umieszczone, nazywano powszechnie salą Pruszkowskiego; nazwę tę przyjął X. Skorchowski. znany krytyk sztuki i od „sali Pruszkowskiego“ i jego obrazów rozpoczął szereg swoich fejletonów o sztuce na Wystawie. Szablonowe to wprawdzie wyrażenie, że czegoś opisać niepodobna, bo widzieć potrzeba — a jednak muszę się niem posłużyć, bo żaden opis nie dałby najsłabszego pojęcia o piękności tych pasteli, o wrażeniu, jakie na zwiedzających gmach sztuki czyniły. Sędziowie nie omylili się, przyznając im najwyższą nagrodę: dyplom honorowy.

Nagroda ta słusznie należała się Pruszkowskiemu, metylko jako artyście, co włada dzielnie środkami dostarczonemi przez technikę malarską, ale i jako poecie, co w czasach panowania zimnej prozy, w czasach kiedy realizm mrozi wszelką fantazyą w tworach ducha ludzkiego, kiedy fotografia panuje w sztuce i literaturze, fotografia, chętniej chwytająca to, co brzydkie, wstrętne i chore, niż co piękne, wzniosłe i zdrowe — umiał zmusić tłumy „zjadaczów chleba“ do uklęknięcia przed majestatem poezyi, do przejęcia się „bólem bólów“, do wzruszeń silnych, a szlachetnych.

Pomiędzy temi pastelami jedna zwłaszcza sprawiała niedające się opisać wrażenie. Był to „Pochód na Sybir“, temat, którego się chwytało wielu artystów po Grottgerze i zawsze bez powodzenia. Doszło do tego, że kiedy udzielano wiadomości o przyjściu jakiego nowego „Pochodu“ na wystawę, każdy znawca sztuki uśmiechał się ironicznie i mówił uszczypliwie: ot. nowy rywal Grottgera! I rzeczywiście, aby po Grottgerze malować „Pochód na Sybir“, to potrzeba było być albo olbrzymio zarozumiałym, albo olbrzymio utalentowanym. Pruszkowski znał

---

dla Egipcyan nauka ich kapłanów. W porównaniu swem posunę się jeszcze dalej. Ot, zauważyłem, że tak zwani mężowie nauki niejednokrotnie postępują sobie tak, jak ci starożytni kapłani, którzy podlegając li tylko wzajemnej kontroli, dzielnie kłamali. za prawdę podając to wszystko, co im tylko przyszło do głowy.

Cała mowa Zoli skierowaną jest przeciw przywódzcom młodzieży, którzy zalecają jej powrót do przestarzałych teoryi religijnych. Zola jest ich przeciwnikiem.

Lecz ani jedni, ani drudzy nie szukają zasad życiowych w sobie samych, w własnym swym rozsądku, tylko szukają ich w zewnętrznych formach życia, jedni w tem, co zowią religią, drudzy w tem, co zowią nauką. Jedni, co szukają zbawienia w religii, szukają go w dawnych podaniach, w dawnej wiedzy ludzkiej i pragną zaufać tej dawnej, cudzej wierze, — drudzy, co szukają zbawienia w nauce, nie szukają go we własnym swym rozumie, lecz we wiedzy innych ludzi i wierzą w tę cudzą wiedzę. Jedni widzą zbawienie ludzkości w odnowionym, oczyszczonym katolicyźmie, drudzy widzą je w zbiorze najrozmaitszych i najzbyteczniejszych wiadomości, które nazywają nauką, dobrodziejstwem, jedynie skutecznem środkiem, który zdołałby usunąć wszelkie nędze życia i dal ludzkości najwyższe doścignione szczęście. Jedni nie widzą tego, że to, co odbudować pragną, jest tylko pustą poczwarką, z której motyl już dawno uleciał i jajka swe na innem składa miejscu, nie widzą tego, że to, co odbudować pragną, nietylko nie przyniesie ulgi naszym cierpieniom, ale je wzmoże, gdyż nakłoni ludzi do odwrócenia wzroku od realnych warunków życia. Drudzy nie chcą uwierzyć, że ten zbiór nauk, ta ich domniemana wiedza, wzbudzi tylko chwilowe zajęcie w próżniakach, będzie niewinną rozrywką dla ludzi bogatych, lub w najlepszym razie stanie się narzędziem złego lub dobrego, stosownie do tego, w jakie się dostanie ręce. W istocie rzeczy przecież, ani pierwsi, ani drudzy, nie wierzą w skuteczność owego środka, jakiego się uchwycili, tylko jedni jak drudzy pragną odwrócić wzrok swój i wzrok innych ludzi od przepaści, która rozwarła się nagle przed całą ludzkością i która nas wszystkich pochłonie, jeżeli i nadal pójdziemy drogą, jaką idziemy obecnie. Jedni znajdują środki ochrony w mistycyźmie, drudzy, których przedstawicielem jest Zola, w ogłuszającej pracy dla nauki.

Pierwsi od drugich różnią się tem tylko, że pierwsi wierzą w dawną mądrość, której kłamstwo już stwierdzono, drudzy zaś wierzą w świeże kłamstwo, które, nieobalone jeszcze zupełnie, ludzi trwożliwem wahaniem napełnia. Co do istoty samej, przesąd jednych jak i przesąd drugich jest zupełnie ten sam, ta chyba tylko pomiędzy niemi zachodzi różnica, iż wiara pierwszych jest wiarą przeszłości, wiara zaś drugich jest wiarą teraźniejszości. Czyż byłoby słusznie i bezpiecznie postępować za radą Zoli i życie całe poświęcić temu, co świat nazywa nauką? A cóż pocznę wtedy, gdy przez cały ciąg życia oddam się wyłącznie różnym badaniom naukowym, zajmę się roztrząsaniem kwestyi „dziedziczności“ według teoryi Lombrosa, nauki „o płynach“ według systemu Rocha — rozbieraniem studyów o urobieniu się czarnoziemu, lub o istnieniu czwartej jakiejś dymensyi podług systemu Crookesa, i nagle krótko przed śmiercią dowiaduję się, że to, nad czem ślęczałem życie całe, jest tylko wielkiem głupstwem, lub też wprost rzeczą szkodliwą. Cóż ja wtedy pocznę? A danem mi było raz żyć tylko!

Pewien chiński filozof, Laodsi, twierdzi, iż szczęście człowieka, ludzkości całej, wszystkich narodów li tylko polega na pełnieniu „tao“ („tao“ znaczy tyle, co cnota lub prawda). Chcąc przyswoić sobie „tao“ trzeba zaprzestać pracować. Cała bowiem nędza ludzka nie pochodzi ztąd, iż ludzie, nie uczynili tego, co uczynić mieli, lecz że uczynili to, czego uczynić nie powinni. — Mojem zdaniem ten filozof chiński ma słuszność zupełną. Bo jakąż korzyść mieć będą ludzie z tego, iż pracują bez wytchnienia? Giełdzista, bankier powracają z giełdy, gdzie pilnie pracowali, — fabrykant strudzony opuszcza fabrykę, w której tysiące

całą niepospolitą wartość genialnego utworu Grottgera, a jednak nie zawahał się przed niebezpiecznem porównaniem. Tylko wiedział czego nie wiedzieli inni, że należy wyzyskać to czego wyzyskać nie mógł Grottger. A wiec nie przedstawiał szeregu skazańców z twarzami pełnemi bólu lub zadumy, lecz wywołał wspaniały efekt kolorystyczny. Patrzący widzieli tylko długą niezmierzoną pustynię, widzieli chmury ołowiane i przestrzeń śniegową oświecone blaskiem czerwonym, widzieli słup graniczny Europy, a poza nim gdzieś w dali majaczące i niewyraźne sylwety tłumu pędzonego przez żołdaków. Kto się dłużej wpatrywał ten dojrzał, iż z barw i cieni wyłaniała się wśród chmur mglista postać anioła z rękami wzniesionemi ku niebiosom, wpatrująca się w gwiazdę, przebijającą się przez chmury, a będącą zarazem jedynym świetlanym punktem obrazu.

Odtąd sztuka polska liczy dwa wspaniałe „Pochody [na Sybir“: Grottgera i Pruszkowskiego. Ten ostatni nabyty został przez ks. Adama Sapiehę.

K. Bartoszewicz.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Koncert Paderewskiego

w Lipsku.

Lipsk, 22 lutego.

Jak iskra elektryczna podziałała na muzyków i lubowników muzyki wiadomość, że na zaproszenie „Liszt-Vereinu“ daje 19 lutego Józef Ignacy Paderewski koncert, którego dochód przeznaczony jest na wystawienie pomnika Liszta w Wejmarze. Kilka tygodni przed występem zamawiano bilety, gdyż wiedziano dobrze, że nazwisko „Paderewski“ wystarcza zupełnie, aby ściągnąć tyle słuchaczów do kolosalnej sali „krystallpalastu“ lipskiego, ile ona pomieścić nie może, zwłaszcza program ogłoszony obiecywał nie lada ucztę duchową.

Paderewski w swej podróży tegorocznej dwa tylko zaszczycił miasta w Niemczech koncertami: Drezno i Lipsk. Z Drezna, gdzie koncertował 15 lutego w piątym symfonicznym koncercie pod dyrekcyą Schuch'a, i gdzie wzbudził niesłychany dotychczas entuzyazm, przybył do Lipska 19 o 5 po obiedzie, aby przez cały wieczór grą swą wzbudzać podobny entuzyazm jak w Dreźnie, jeżeli nie większy. Przyczynił się do tego niemało szczęśliwy wybór utworów, które dały sposobność poznania wszechstronności Paderewskiego. Czytając na programie nazwiska Bacha, Beethovena, Szumana i Rubinsteina mimowoli przyszło się do wniosku, że ten, co te techniczne z jednej strony, a co ważniejsze z drugiej strony pod względem zrozumienia trudne utwory oddać się odważa, wielkim musi być mistrzem tonów i geniuszem, jeżeli w istocie je zagra „comme il faut“. I otóż oczekiwania nie doznały zawodu. Paderewski venit i vicit. Rozpoczął chromatyczną fantazyą i fugą Bacha, którą zagrał znakomicie pod każdym względem. Trudno sobie wyobrazić, aby czyściej i wyraźniej z pod czyjej ręki wyszedł ten utwór; oddanie tej właśnie kompozycyi okazało, że Paderewski jest mistrzem w całem znaczeniu tego słowa. Jeżeli jeszcze za mało może wniknął w ducha tej kompozycyi Bacha, to za to zadowolił najwybredniejsze wymagania w tym względzie wykonaniem mniej grywanej sonaty Beethovena Op. 111. Te *ariette, adagio molte semplice i cantabile* grał niezrównanie, a był to raczej śpiew prosty i rzewny niż gra. Tak gra jeden Paderewski. Jeżeli wykonanie tego utworu wzbudziło entuzyazm, to wzrastał tenże coraz bardziej, im więcej zbliżał się artysta ku swemu właściwemu polu: Szopenowi.

Szumana sonata „*Fis moll*“ op. 11 pośredniczyła między Beethovenem i Szopenem: wątpię, czy można było szczęśliwszy zrobić wybór. Kto raz słyszał aryę z tej sonaty na pysznym instrumencie Steinway'a wyśpiewaną, ten nie zapomni wrażenia tego nigdy.

I oto Szopen. Tutaj krytyka ustaje, jakby Szopen sam grał. Nokturn *G-dur op. 37 No. 2, Mazurek B-moll op. 24 No. 4*, rzadko grywany a śliczny, *Preludyum As-dur op. 28 No. 17 i Etude F-dur op. 25, No. 3* grał niezrównanie; tutaj był w swym żywiole i zapał wzbudził niesłychany. Nie klaskano tylko, lecz krzyczano i wiewano chustkami: „*es tobte Beifall*“, i nie uspokojono się prędzej aż Paderewski nie dodał walców Szopena *As-dur* i *Cis-moll*, ale w tychże obrał artysta może za szybkie tempo.

Po Szopenie Rubinsteina *barkarola F-moll, op. 30 No. 1* i wspaniały walc, który był przejściem do Liszta „*Au bord d'une source,*“ *etude de concert No. 2 F-moll i Rhapsodie hongroise No. 10.* Podziwiać można siły mistrza, który po 2-godzinnej pracy odegrał tak szalonej siły i biegłości wymagającą rapsodyę z ogniem, cechującym węgierską muzykę.

Zdumiewającą jest jego technika, ta biegłość wyrównana i pewność w pasażach, co się nadzwyczaj obok indywidualności do tego przyczyniła, że muzyka Paderewskiego nie robi wrażenia czegoś wyuczonego, tylko genialnej improwizacyi.

Jeżeli ktoś mniema, że zadaniem muzyki jest tak zwana „Poesie der Stimmung“ to znalazł w muzyce Paderewskiego to, czego żądał.

Entuzyazm był niesłychany, który zniewolił artystę do dodania kilku nowych utworów nad program.

Zarzucono go wieńcami, z których jeden od akademików-Polaków z Lipska, a drugi od akademików z Halli. Podnieść należy ofiarność i hojność artysty, który nietylko w Lipsku grał na cele publiczne, ale i w Dreźnie przeznaczył sumę nadesłaną mu na cele dobroczynne.

Z Lipska żegnany na dworcu przez wielbicieli swego talentu, odjechał znowu do Drezna, aby tam koncertować u dworu i ztamtąd udać się przez Wiedeń, gdzie się chciał rozpatrzeć w sprawie wystawienia swej opery, do Pesztu. Poznań przyrzekł odwiedzić w krótkim czasie.

K. W. Ja.

Z niwy powieściowej.

Włodzimierz Koszyc: „W szynelu“. Petersburg u Grendyszyńskiego i Kraków u Anczyca i Sp. 1895.

Sprawa militaryzmu, ciążącego w naszych czasach „zbrojnego pokoju“ jak zmora na piersiach narodów europejskich, wysączającego z nich najlepsze siły żywotne i spychającego je powoli w przepaść i bankructwo, jest obecnie jeżeli nie najważniejszą, to jedną z najważniejszych spraw polityczno-ekonomicznych, a ztąd stałym przedmiotem roztrząsań w prasie i literaturze. Z jednej strony zwraca się bezustannie uwagę na niekorzystne pod względem państwowo-gospodarczym skutki stałego powiększania siły zbrojnej, z drugiej stawia się pytanie, czy militaryzm wogóle w czasach naszych nie jest anomalią, czy nie stoi w sprzeczności z cywilizacyą i godnością człowieka.

Dziełko Koszyca, noszące w tytule miano „obrazka powieściowego“ ma być odpowiedzią na powyższe pytanie.

Na ponurem, wstrętnem tle koszarowego życia w nieoznaczonej bliżej miejscowości galicyjskiej, rysuje autor sylwetkę galicyjskiego chłopka, Bogusia, który upośledzony od natury, niezgrabny i niepojętny, nie umie sprostać należycie nowym swym obowiązkom, ani też odcinać się zaczepiającym, wystawiając się przez to na brutalność kolegów i niższych przełożonych, mianowicie kaprala Korduli. Wyszydzany, bity i poniewierany przy każdej sposobności, znosi cierpliwie wszelkie zniewagi, zewnętrznie zimny i jak głaz nieczuły; ale w głębi jego duszy odzywa się nieśmiały protest przeciw tym brutalnym ludziom, którzy znęcają się nad nim z fantazyi lub z niezrozumiałych mu względów służby, i na dnie jego serca głęboko zamknięte spoczywa pewne niewyraźne poczucie godności człowieczej, które buntuje się przeciw swemu otoczeniu i nowym warunkom bytu.

Naraziwszy się raz bezwiednie kapralowi staje się nieszczęśliwy ofiarą jego zemsty, i denuncyowany za drobne wykroczenie w służbie zostaje skazany na straszliwą torturę, „zawieszenia na krzyżu“.

Odtąd upada Boguś zupełnie na duchu, bydlęcieje i poddaje się apatycznie swemu losowi, starając go sobie osłodzić nadmiernym używaniem wódki i tytoniu. Straszliwa egzekucya i następujące po niej zaziębienie podkopują w związku z nadużywaniem narkotyków zupełnie z natury słaby jego organizm i wywołują wybuch odziedziczonych po ojcu suchot, na które, uwolniony od dalszej służby, umiera po kilku miesiącach w swej rodzinnej wiosce.

W jednej kampanii z nim odsługuje służbę jednoroczną młodzieniec entuzyasta, który wyrzawszy w bezdeń ludzkiej nędzy, a zapoznawszy się dokładnie z najnowszemi teoryami s[illegible]

ludzi marnuje swe życie nad sporządzeniem tabaki, wódki i t. d. Wszyscy ci ludzie pracują, lecz czyż rzeczywiście powinno się ich zachęcać do pracy? Lecz zwróćmy się do ludzi nauki, bo może ich tylko trzeba mieć tu na względzie!

Bezustannie zarzucają mnie różnemi dziełami; rozprawami z zakresów sztuki i nauki. Jeden z autorów rozpisał się o chrześcijańskim mistycyźmie — drugi o eterze kosmicznym, trzeci o kwestyi socyalnej, czwarty debatował nad kwestyą polityczną, piąty poruszył kwestyę wschodnią, szósty wreszcie redaguje pismo, mające na celu badanie tajemniczych sił ducha i natury. Wszyscy ci ludzie pracują dla nauki, lecz zdaje mi się, że ta mozolna ich praca ani autorom samym, ani drugim ludziom nie przyniesie żadnych korzyści — powiedziałbym nawet — iż podobne zużycie czasu jest wprost rzeczą szkodliwą. Raz, szkodliwą dla tego, że tysiące ludzi mozoliło się nad sporządzaniem papieru, czcionków i druku do wszystkich tych dzieł i pracowało ciężko, żeby używić i przyodziać tych męczenników nauki, — powtóre, wszyscy ci autorowie, zamiast poczuwać się do winy względem społeczeństwa, bo przecież zawinili również wielce względem niego, jak gdyby grali w karty, lub inne gry hazardowe, z spokojnem sumieniem rozpoczynają pracę, która w końcu na nic się nie przyda.

Iluż jest na świecie tych prawdziwie okrutnych ludzi, co są zawsze tak zajęci, iż nawet czasu nie mają zapytać się samych siebie, czy drudzy potrzebują tej ich pracy, nad którą tak pilnie ślęczą, czy przypadkowo ta praca ich nie jest wręcz szkodliwą! Zwróćmy tylko uwagę tym ludziom i powiedzmy im: „Wasza praca z tego, a z tego powodu jest nieużyteczną; przestańcie na chwilę! zastanówmy się nad tą kwestyą.“ Oni nas nie usłuchają i w dodatku odpowiedzą ironicznie: „Dobrze wam tak mówić, skoro nie macie żadnego zatrudnienia, lecz ja mozolić się muszę nad tem. ile razy tego a tego użył ten a ten starożytny autor, lub też pracuję nad zdefiniowaniem formy atomów, zajęty jestem telepatią i t. d.“ Wielce zadziwiło mnie orzeczenie Zachodniej Europy, przez Zolę tak wyraźnie zaznaczone w odezwie do młodzieży, że praca jest cnotą. Podług mnie, chyba tylko „mrówka“, stworzenie bezrozumne i pozbawione wszystkich dążności do dobrego, — mogła według tenoru bajki przypuścić, że praca jest cnotą, z której chełpić się trzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

cyologicznemi, marzy o wysokich celach oświaty i uszczęśliwieniu ludności za pomocą środków prawodawczych. Ukończywszy swe studya w Berlinie, zaręcza się Drzewiecki — tak nazywa autor głównego swego bohatera — z panienką równie jak on egzaltowaną, przepełnioną gorącą miłością ludu i wiarą w cywilizacyę i wysokie cele ludzkości.

Spoglądając na męki biednego Bogusia, któremu próżno stara się dopomódz, i widząc we wojsku jedynie instytucyę, zabijającą ducha i indywidualność, niezgodną z wysokim zadaniem cywilizacyi, traci Drzewiecki równowagę i wiarę w przyszłość. Zdaje mu się, jakoby wszelkie dążenie do postępu było próżnem szamotaniem się ludzkości, walką bezskuteczną, w której demon ciemnoty ustawicznie gasi płomień z żagwi anioła cywilizacyi i strąca w przepaść Syzyfowi kamień wytoczony na wyżynę.

W zwątpieniu jego stara mu się dodać odwagi zajmujący z nim jedno mieszkanie nauczyciel jego dawny i serdeczny przyjaciel, profesor Kowalski, który doświadczony życiem, nie wierzy, aby możliwem było usunąć zupełnie nędzę ze świata i stworzyć raj na ziemi, o jakim marzył Drzewicki, ale patrząc dalej nie wątpił też o przyszłości.

Drzewiecki słucha początkowo z niedowierzaniem i pewnem lekceważaniem wywodów starego przyjaciela, i dopiero złamany egzekucyą, dokonaną na Bogusiu, daje się przekonać, że jeszcze nie wszystko stracone, i zawiodłszy się w swoich oczekiwaniach i ideałach, nie należy jeszcze porzucać nadziei. Wywody Kowalskiego stanowią kwintesencyą utworu Koszyca. Twierdzi on słusznie, że ludzkość, postępując coraz wyżej, nigdy jednak nie wstąpi na wyżyny szczęścia: może znieść obecną nędzę i obecne nieszczęścia, ale na ich miejscu powstaną nowe. Świat przybiera coraz lepsze kształty, "ale zawsze podobny będzie do coraz piękniej rzeźbionego posągu, z utrąconym nosem lub rękoma." Na razie zaś wszystkie obecne niedogodności, niestosowne instytucye, a więc i wojsko, mają prawo bytu „jak woda z Lourdes służy dziś za środek leczniczy". chociaż nauka rozcina już bielmo skalpelem. „Gdy umiejętność zatryumfuje, źródło lourdeńskie wyschnie." Stan obecny jest stanem przejściowym, skazanym na wymarcie, i nie chcąc, aby stan przyszły równy był obecnemu, aby ludzie tak samo cierpieli, jak nieszczęśliwy Boguś, nie trzeba zakładać rąk w zwątpieniu, lecz piąć się wyżej.

Podobną walkę i podobne zwątpienie przeszła narzeczona Drzewieckiego, Jadwiga. Zamierzała podnieść lud wiejski i uszczęśliwić za pomocą oświaty, ale założona przez nią szkółka ludowa, upadła dla braku uczni i oporu rodziny i znajomych, a ją samą prześladowano jako rewolucyonistkę. Dopiero pod wpływem nawróconego narzeczonego nabiera nowej odwagi do czynu i dalszej pracy nad rozwojem oświaty, w przekonaniu, że choć pożno, przyjdzie chwila zwycięztwa.

Pod względem zewnętrznego wykonania należy utworek Koszyca do lepszych prób tego rodzaju. Pominąwszy piękny język, żywe i prawdziwe przedstawienie, należy przyznać autorowi, że umiał uchronić się najważniejszej wady podobnych szkiców literackich. Myśl zasadnicza, której rozwiązanie stanowi treść i główny cel utworu, nie wysuwa się nieproporcyonalnie naprzód, jako z góry obmyślona teza, do której mniej lub więcej zręcznie przylepiono w rodzaju przykładu, opowiadanie, lecz wypływa z niego i tworzy z nim harmonijną i okrągłą całość. Charaktery są tylko w grubszych rysach naszkicowane, ale występują pełno z ram obrazka, nie rażą ani jednostronnością, ani przesadą, i opracowane są wszystkie z równą prawdą i równem zamiłowaniem.

Jeżeli co utworowi Koszyca możnaby zarzucić, to zbytni realizm, dochodzący czasami granic naturalizmu, z którym autor przedstawił życie koszarowe, a mianowicie ćwiczenia wojskowe. Ustępy odnośne, wyjęte, jak się zdaje, wprost z życia, rażą swą trywialnością i obniżają nieco poziom całości, chociaż łatwo zrozumieć, że autorowi chodziło o obudzenie wstrętu do tego, co uważa za nieszczęście ludzkości i sprzeczne ze zadaniami cywilizacyi.

Z. Oleski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ludność Królestwa polskiego.

II.

Faktem ogólnie rzucającym się w oczy wsród dzisiejszej ludności, jest przewyżka kobiet nad mężczyznami. Z wyjątkiem krajów południowych, a więc Włoch, Grecyi, Słowiańszczyzny południowej i niektórych wysp morza Śródziemnego, wszędzie ludność kobieca liczniejszą jest, niż męzka. W Królestwie powtarza się to samo zjawisko. Stosunek do innych państw jest przecież odmienny od tego, jaki widzieliśmy wśród ludności miast i wsi, a mianowicie żaden kraj w Europie nie posiada takiej przewyżki kobiet, jaka jest u nas. W Portugalii, gdzie liczono największą przewyżkę kobiet, wypadało ich 104,4 na 100, w Anglii, Francyi, w Niemczech i Austryi było ich w latach 1881 i 1885 102 na 100 mężczyzn. Tymczasem u nas już 1863 r. na 100 mężczyzn wypada 107,4 kobiet, 1866-ym r. 106,7, w 1890-ym cyfra ta wzrasta do 107,6, wreszcie w 1893 zniża się do 105,6

Ludność żeńska w ogóle liczniejszą stosunkowo jest po miastach, niż na wsi. I tak w 1890 r. było w miastach na 100 mężczyzn 110,1 kobiet, w powiatach 107,9, w osadach 105,5, a po wsiach 105,1.

Żywioł kobiecy najwięcej przeważać się zdaje w miastach prowincyonalnych, gdzie przewyżka dochodzi do 20 przeszło na 100 (w Kaliszu np. 121 kobiet na 100 mężczyzn, w Płocku 117, w Kielcach 128), oraz w osadach fabrycznych, które zatrudniają przeważnie kobiety robotnice. Tu uderza fakt nader szybkiego zwiększania się ludności kobiecej; w Żyrardowie np. w 1890 r. na 100 mężczyzn było 123,4 kobiet, w 1893-im 129,1. Prawda, zastrzedz się trzeba, że przy obliczaniu widocznie są w wielu cyfrach pomyłki i tak w miasteczku Kalwaryi np. dla 1890 r. liczy statystyka 123 kobiet na 100 mężczyzn, dla 1893 już tylko 80. Musiałaby zajść specyalna przyczyna odpływu żywiołu kobiecego, aby w ciągu lat trzech stosunki w takim stopniu zmienić się mogły. Jeżeli jednak liczne omyłki wkradły się przy ostatecznem redagowaniu, to obliczeniom dla całych gubernij przyznać przecież można choć względną dokładność.

Największą przewyżkę liczby kobiet spotykamy w gubernii suwalskiej 110,4, w miastach zaś nawet 118 na 100 mężczyzn, w gubernii kieleckiej 109, oraz 116 po miastach. Najpomyślniej ułożyły się stosunki płci w gubernii siedleckiej i radomskiej, w których liczba kobiet tylko o 2 na 100 przewyższa ludność męzką.

Czem wytłomaczyć taki nienormalny układ stosunków? W oddzielnych guberniach, np, w suwalskiej, przypisać by go można wychodźtwu mężczyzn za morze, w miastach wielkich jak Warszawa (109,7 na 100 m.) przewadze służby żeńskiej nad męzką, w osadach fabrycznych, w których zatrudniane są przeważnie robotnice, rzecz jest jasną. Wreszcie w miastach prowincyonalnych ubytek mężczyzn wytłomaczyć by można większą ruchliwością męzkiego żywiołu, który ucieka od stosunków drobnomiejskich i prowincyonalnego zastoju. Ale tak wielka przewyżka kobiet w całym kraju objaśnia się tylko poborem wojskowym, który siły męzkie odciąga, wojsko zaś, znajdujące się w kraju do obliczeń włączonem nie jest.

Nawet wiele dokładniejsze od naszej statystyki, jak np. austryacka, zdobyć się nie mogą na obliczenia ludności pod względem narodowościowym i u nas przeto zrezygnować z tego należy, zadawalając się ogólną cyfrą 1,06 proc. cudzoziemców w kraju. Do oceny narodowości dojdźmy przeto raczej pośrednio przez rozpatrzenie stosunków wyznaniowych.

Podług wyznań dzielimy ludność na cztery główne grupy: prawosławnych, katolików, protestantów i żydów. Ponieważ w ciągu lat trzech ostatnich zmiany są zbyt nieznaczne, aby na nie zwrócić uwagę, porównajmy przeto stosunki z okresu lat trzydziestu, a więc rok 1863 z 1893-im. Na 100 ludności było osób według wyznań:

	1863 r.	1893 r.
Prawosławnych	4,7	5,0
Katolików	76,3	75,5
Protestantów	5,8	5,6
Żydów	13,1	13,9

Dostrzegamy pewien ubytek w stosunku ludności katolickiej do ogółu, po za tem jednak zmiany są niewielkie. Z ludności prawosławnej największy jej procent, w stosunku do ogółu, znajduje się w gub. lubelskiej i siedleckiej, po za tem spotykamy ją przeważnie po miastach, jako ludność napływową z cesarstwa. Protestanci zgromadzili się głównie w gub. piotrkowskiej (13,6 na 100) i kaliskiej (8,9 procent). Rozmieścili się oni po miastach (28,7 procent) i po wsiach jako koloniści rolnicy (73,9 na 100 całej ludności protestanckiej. W miastach i po wsiach mają oni swoje usprawiedliwienie, racyę bytu, są żywiołem pracowitym, a tylko w części inoplemiennym, gdyż mamy wielu polaków-protestantów.

Najciekawsze są stosunki ludności żydowskiej. Tu wiara łączy się zawsze z narodowością, a cechy plemienne są tak wybitne, iż wszędzie tę samą rolę gospodarczą izraelskiemu elementowi wyznaczają.

Wśród ludności pojedyńczych gubernij żydzi stanowią żywioł niejednakowo reprezentowany, gdzie liczniejsza jest ludność miast, a zwłaszcza miasteczek, tam i element semicki najbujniej się rozkrzewił. Porównajmy znów najnowsze dane z rokiem 1863. Wśród ludności całej żydzi stanowili następujące odsetki:

	w 1863 r.	w 1893 r.
Warszawska	20,0	17,8
Łomżyńska	9,2	16,3
Siedlecka	9,1	15,9
Radomska	9,0	14,0
Lubelska	11.6	13,8
Suwalska	10,7	13,4
Piotrkowska	9,7	13,0
Kielecka	6,3	11,8
Płocka	5,9	11,2
Kaliska	7,9	8,8

W ogóle liczba żydów z 815,433 w r. 1863 wzrasta do 1,224,652 w r. 1893, a więc przybywa jej 50 procent w tym samym czasie, gdy cała ludność kraju wzrasta o 46, katolicka zaś o 45 na sto. Dążność do przewagi liczebnej żywiołu semickiego jest więc bardzo widoczną. Jak wykazuje porównanie pojedyńczych gubernij, przyrost ludności żydowskiej nie zależy od przemysłowego rozwoju okolicy, który jest warunkiem, przyciągającym protestancką, przeciwnie, liczba żydów wzrasta najszybciej w guberniach czysto rolniczych, jak łomżyńska, siedlecka, radomska. Nie wieś i nie gospodarstwo rolne pociąga ich tu przecież, gdyż, jak wiadomo, żydzi są ludnością par excellence miejską, a statystyka wykazuje, że 85 na 100 zamieszkuje miasta, miasteczka i osady, że wsród ludności miejskiej stanowią oni 43 proc., w miasteczkach i osadach 48, a po wsiach tylko 2,5 procent. Cyfry więc dowodzą, że ludność żydowska jest elementem pasorzytniczym, który mieszkając wsród ludności wiejskiej, wziął na siebie wszelkie interesy handlowe, pośredniczące, lichwę, szynki itp. Wszystko to nie są szczegóły nowe, wykryte przy pomocy statystyki, ale stosunki rozsiedlenia stwierdzają tu fakt znany, że żydzi w sześciu guberniach dają więcej, niż połowę mieszkańców wśród ludności miejskiej. Tylko w jednej gubernii piotrkowskiej, a więc najwięcej przemysłowej, ludność żydowska w miastach stanowi 31,4 procent całej, w kaliskiej również nie jest ona względnie liczną, gdyż dochodzi do 42,3 procent, w siedleckiej przecież widzimy już 65,4, a w łomżyńskiej i suwalskiej 58 na 100 ludności miejskiej.

Stosunki te mimowoli nasuwają nam wnioski ogólniejsze. Nie trzeba być antisemitą, aby przyznać, że ludność żydowska w dzisiejszym

swoim składzie i z dotychczasowym kierunkiem działalności jest w kraju naszym czynnikiem szkodliwym, że świadczy ona dziś, jak świadczyła przed stu laty i dawniej jeszcze o braku żywiołu miejskiego, w obec czego rola społeczna, którą spełniają miasta, wypełniana jest u nas przeważnie przez żywioł semicki. Rozsiedlenie ludności izraelskiej jasno wskazuje, że trzyma się ona przeważnie takich okolic, w których stosunki społeczne najmniejszym uległy zmianom, tam zaś, gdzie, jak w gub. piotrkowskiej, wytworzyły się zakątki niemal dziwne na tle naszego kraju, gdzie warczą maszyny i coraz więcej wznosi się kominów fabrycznych, tam żywioł semicki jest najsłabszy. I tak np., nie mówiąc o Łodzi, która, jako znaczne miasto, posiada mnóstwo zajęć handlowych, pośredniczących, a gdzie pomimo to żydzi co do liczby pozostają w tyle za większością miast gubernialnych lub powiatowych (24 proc.), na 100 ludności wypada żydów w Żyrardowie 5,3, w Jeziornie 3, w Dąbrowie Górniczej 2,5 itp. Zarzucą nam, że właśnie w przedsiębiorstwach przemysłowych dużo jest kapitału należącego do żydów, ale widać, że kapitał ten zatrudnia ludność przeważnie niesemicką, że, o ile zatrudnia, odciąga ją od szkodliwego dla ludności polskiej pośrednictwa handlowego i że wreszcie i sam ten kapitał chętniej zwraca się ku przedsiębiorstwom handlowym, niż przemysłowym, najchętniej zaś działa w tradycyjny sposób na drobną skalę wśród ludności wiejskiej. Z danych statystyki ludnościowej trudno wyciągać szersze wnioski: jednakże rozsiedlenie ludności żydowskiej zbyt wyraźne daje nam wskazówki o jej charakterze, aby nie można było widzieć w niem związku z ogólnym charakterem żywiołu semickiego w naszym kraju.

S. Z. Dański.

BADANIA NAUKOWE.

Zdobycz Darwinizmu.

W obozie Darwinistów święcą w najświeższym czasie tryumf niepospolity, bo jak pisma naukowe, poświęcone biologii i antropologii, donoszą, odkryto rzekomo kopalne szczątki tworu, pośredniego między typem ludzkim a zwierzęcem, *(Pithecantropus erectus)*.

Jeżeli się uczeni nie łudzą, rok upłyniony możnaby zaliczyć do najszczęśliwszych dat dla wiedzy. Chemia uczyniła tak znakomitą zdobycz, jak odkrycie trzeciego gazu powietrza, biologia zaś podobno również wielki, jeśli nie donioślejszy pozyskała klejnot, wykrywszy kopalne szczątki, dawno już przez darwinistów przepowiedzianego tworu, pośredniego między człowiekiem a małpą. Nieraz już z powodu podobnego odkrycia wszczynano alarm, po bliższem atoli zbadaniu okazywało się zwykle, iż z czem innem miano do czynienia: tym razem wszakże, prawdziwość faktu ma nie ulegać wątpliwości. Szczęśliwym odkrywcą jest lekarz holenderski, osiadły w Batawii, Eugeniusz Dubois; odkrycie swe zrobił na Jawie, a znalezione szczątki składają się z doskonale zachowanej czaszki, oraz o 20 metrów opodal spostrzeżonych — kości udowej i zęba. Powiadomione o doniosłem tem zdarzeniu Towarzystwo antropologiczne w Paryżu, na posiedzenie d. 3 stycznia r. b. zajęło się bliżej niniejszą kwestyą.

Głos zabrał słynny antropolog M. Manouvrier. Uważa on czaszkę Pithecanthropusa, z budowy jej, za pośrednią między czaszką małp wyniosłych (anthropoidów) a tubylca lądu australskiego; posiada ona w stopniu wyższym jeszcze cechy czaszki z Neanderthalu (miejscowość w pobliżu Mettmann w Prusiech, gdzie znaleziono kości człowieka przedpotowego) Średnica podłużna wynosi 185 mm., poprzeczna 130 mm., pojemność 90—100 ccm., więc o wiele wyższa od pojemności u największego goryla, lecz niższa, niż u człowieka pierwotnego. Wśród ludzi pojemność taka widzieć się daje tylko u osobników kretynowatych. Ząb trzonowy wielkości kolosalnej; jestto trzeci i górny ze strony prawej; zbliża się bardziej do zęba małpiego, niż ludzkiego. Już sama czaszka wystarcza, zdaniem mówcy, do wygłoszenia zdania, iż należy ona do istoty, zajmującej środek między człowiekiem, a małpą. Położenie otworu potylicowego i tylne zarysy głowy wskazują, iż się ostatnia, bardziej niż u którejkolwiek z wyższych małp, opierała na kolumnie kręgowej. Zbliża się pod tym względem do niej poniekąd głowa gibona, który też kroczy z większą niż inne małpy łatwością, lecz inne cechy gibona bardziej go oddalają od człowieka, aniżeli odpowiednie cechy — czaszkę, o której mowa. Z danych tych można wnioskować, iż owa istota mogła chodzić na dwóch kończynach. Zbadanie kości udowej potwierdza to przypuszczenie. Co do niej wszakże, jako znalezionej zdala od czaszki, nie można być pewnym, czy należy do tegoż gatunku, jakkolwiek E. Dubois utrzymuje, iż natura miejsca, gdzie znalezionemi zostały szczątki, nie pozwala wątpić, aby nie należały one do jednego okresu. Kość udowa znacznie już więcej od czaszki zbliża się do ludzkiej, wewnętrzna tylko linia rozdwojenia linii chropowatej zaznacza ekskrescencyę kostną bardzo rozległą, co Dubois uważa za skutek obecności tętniaka, mówca zaś za skostnienie włókien ścięgnistych przyczepu mięśniowego. Kość wykazuje wydatność kolumnową wybitną, która, służąc za przyczep dla mięśnia udowego, silniej rozwinięty u człowieka, niż u anthropoidów, gra niezmierną w chodzeniu rolę i ztąd jest cechą swoiście ludzką. We wnioskach, kładzie Manouvrier akcent na doniosłość kwestyi. Jakkolwiek odkrywca, zdaniem jego, w niektórych szczegółach przesadza, są to wszakże drobnostki drugorzędne, nieujmujące nic oryginalności odkryciu.

M. Duval zaznacza nadzwyczajną doniosłość faktu, uważając go za najwybitniejszy z wygłoszonych z trybuny Towarzystwa od czasu założenia. Proponuje wystosować prośbę do rządu holenderskiego o wykonanie odlewów i rozpowszechnić wiadomość, umieściwszy rysunki w biuletynach Towarzystwa. Uznaje on różnicę między czaszką a kością udową, lecz nie dziwi się jej. Zdaniem jego, człowiek zaczął chodzić na dwóch kończynach jeszcze przed wyższem rozwinięciem swej inteligencyi. Stał się on człowiekiem dzięki kości udowej, zanim stał się nim, dzięki czaszcze.

Dr. J. Sz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 26 lutego.

(Kolej do Zakopanego. Bank galicyjski. Dom akademicki. Prof Rydygier przeciw kobietom na uniwersytetach. Ks. Stojałowski redivivus. Zapis na Akademią i gimnazyum w Cieszynie. Miscellanea. Sp. Marjan Baraniecki.)

W Izbie hadlowej krakowskiej rozbierano sprawę kolei lokalnej z Chabówki do Zakopanego. Przy rewizyi trasy wąsko-torowej brali udział delegaci Izby, a z aparatu biura kolejowego przy wydziale krajowym odnosiło się wrażenie, iż poczyniono w Wiedniu wszelkie kroki do pomyślnego załatwienia tej sprawy i że szło tylko o uchwalenie przez Sejm potrzebnych środków pieniężnych; — tymczasem ministerstwo handlu zawiadomiło Izbę, iż na skutek sprzeciwienia się władzy wojskowej kolej ta od Chabówki do Nowego Targu (tj. na połowie całej drogi) musi mieć tor normalny, a to ze względu na możliwe przyszłe połączenie tej linii z Nowym Sączem, oraz projektowanemi kolejami węgierskiemi. W ten sposób sprawa kolei do Zakopanego, którą już uważano za zupełnie dojrzałą cofnęła się znowu wstecz i niewiadomo kiedy doczeka się załatwienia.

Nadzwyczajne ogólne zebranie akcyonaryuszy Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu zezwoliło zarządowi Banku na podwyższenie kapitału akcyjnego do wysokości dziesięciu miljonów, pozostawiając mu po uzyskaniu zatwierdzenia rządowego prawo emitowania akcyi w miarę potrzeby częściowo lub w całości. O nadziejach przywiązanych do tego podwyższenia kapitału akcyjnego pisałem przed paru tygodniami, a więc dziś ich nie powtarzam.

Senat akademicki nie przychylił się do prośby wzięcia na siebie dalszej akcyi w sprawie budowy „Domu akademickiego“ o co się starał komitet obywatelski, zajmujący się zbieraniem na ten cel składek. Na postanowienie to Senatu wpłynęły bardzo racyonalne powody. Senat doprowadziwszy budowę „Domu“ do skutku, musiałby przyjąć nad nim nadzór, wskutek czego „Dom“ stałby się rodzajem internatu, co zapewne nie leżało w chęci ofiarodawców! Senat ma wprawdzie obowiązek czuwać nad moralnością i prowadzeniem się młodzieży, ale byłoby niestosownem, gdyby wkraczał w sferę ich życia prywatnego, co stałoby się nieuniknionem przy objęciu nadzoru nad „Domem“. Już samo rozstrzygnięcie pytania, komu ze zgłaszającej się młodzieży udzielać prawa bezpłatnego mieszkania w Domu akademickim, naraziłoby Senat na nieprzyjemności, bo rzecz prosta, że pomawianoby go o system protekcyjny, o popieranie dobrze widzianych, o prześladowanie zwolenników pewnych zapatrywań politycznych i społecznych. Gdyby zachowanie się młodzieży, zamieszkującej „Dom akademicki“, spotykało się z zarzutami, to zarzuty te zarówno stawiane byłyby Senatowi z powodu braku nadzoru, a ścisły nadzór, jak to nadmieniłem, wytworzyłby instytucyę, nieodpowiadającą życzeniom ofiarodawców. Przez odmówienie komitetowi obywatelskiemu pozbył się Senat jednego tylko kłopotu, ale nie wie, jak się pozbyć drugiego i to bardzo niebezpiecznego, bo sprawa to nie z jakimś komitetem, lecz z zszeregowaną i wojowniczo usposobioną płcią piękną. Wciąż się toczy walka, czy ją dopuścić, czy nie do wykładów uniwersyteckich. Echa tej walki odzywają się od czasu do czasu w „Przeglądzie Lekarskim“. Pismo to świeżo zamieściło „kilka słów poważnych w tej sprawie tak modnej“ pióra prof. Rydygiera, który jako chirurg dokonał od razu cięcia cesarskiego. Twierdzi on naprzód, że równouprawnienie kobiety z mężczyzną jest nonsensem“, bo się sprzeciwia „odwiecznym prawom natury“, a następnie dowodzi, że „ani fizyczne, ani umysłowe siły kobiet nie dorosły do zawodu lekarskiego“ i powątpiewa: „czy kobiety poświęcające się medycynie, zdolne są do krzewienia oświaty“; nie może sobie wyobrazić, „jakby ta oświata wyglądała“? Przeciw tak kategorycznemu rozwiązaniu kwestyi walczy z ironią nie podpisany autor czy autorka w artykule, zamieszczonym w „Nowej Reformie“.

Ks. Stojałowski *redivivus!* Donoszą z Wiednia, że pewnego dnia bez wszelkiej zapowiedzi znalazła się w tem mieście deputacya włościan z trzech powiatów: bielskiego, wielickiego i wadowickiego, która przywiozła ze sobą memoryał do ministerstwa, opatrzony mnóstwem podpisów z dołączeniem do niego całego stosu oryginalnych listów chłopskich. Tak memoryał, jak i Listy wypełnione są przedewszystkiem skargami na presyę przy wyborach i na uciążliwości z strony władz rządowych. W dalszym ciągu poruszają włościanie liczne sprawy ich obchodzące, a wreszcie występują z obroną ks. Stojałowskiego, żalą się, iż bywa on przed

dym zwołanym przez siebie wiecem ludowym aresztowanym i żądają rozpatrzenia sprawy, tyczącej się nie wypłaconych mu dochodów z parafii kulikowskiej. Deputacyi nie przyjął dr. Madejski, a inni ministrowie odesłali ją do prezesa ministrów ks. Windischgraetza, który miał być zdziwiony, że deputacyę do niego odesłano. Na oprawie memoryału znajdował się charakterystyczny napis: *Erster Band*, będący zapowiedzią dalszych memoryałów z dołączeniem listów chłopskich. Sprawa ta jest tem ciekawszą, iż ks. Stojałowski znajduje się obecnie w więzieniu, a więc i z po za murów jego zdolny jest do kierowania, jeżeli nie całym ruchem ludowym, to przynajmniej jego częścią.

Akademia Umiejętności otrzymała znów nowy, poważny zapis, natnralnie jak zwykle nie z Galicyi. Zmarły w końcu stycznia r. b. w Warszawie śp. Konstanty Kmita z powiatu teliszewskiego, z gubernii kowieńskiej, prawie cały swój majątek wynoszący 25,000 rubli przekazał akademii, przeznaczając połowę na założenie gimnazyum polskiego w Cieszynie, a drugą połowę na wydawnictwa treści historycznej, lub naukowej w języku polskim.

Dr. Stanisław Estreicher zatwierdzony został przez ministra oświaty jako docent prawa niemieckiego na uniwersytecie Jagiellońskim.

W dzień intronizacyi biskupiej odbyły się dwa zebrania robotników; policya przyjęła odmienny system i pozwoliła im przejść się po mieście i zaśpiewać pieśń robotniczą; rozeszli się spokojnie do domów, obyło się bez niepokojów i awantur, które system dawny sprowadzał. — W ubiegłą sobotę, kto mógł, wybiegł w stronę kopca Kościuszki, aby przypatrywać się ciekawym wyścigom na *Ski*, urządzonym przez wojskowość pomiędzy Zwierzyńcem a Wolą Justowską. — Przed kilku dniami w Towarzystwie Przyrodników Imienia Kopernika miał wykład prof. H. Olszewski o argonie, nowym składniku powietrza. — Namiestnictwo zatwierdziło statut stowarzyszenia „Czytelni dla kobiet“: jeden z paragrafów statutów zamyka przed nosem drzwi czytelni mężczyznom — uprzejmością tego nazwać nie można. — Erazm Jerzmanowski nadesłał na ręce dra Asnyka 2000 złr. na budowę szkół; przeznaczono je na szkołę w Białej. — Teatr przygotowuje głośny utwór Hauptmana „Hannele“.

Po napisaniu korespondencyi dowiaduję się o śmierci dra Marjana Baranieckiego, profesora matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarły, cieszący się wielkiem uznaniem za prace z dziedziny nauk matematycznych, był dzieckiem Warszawy, gdzie też wydał wiele dzieł matematycznych. Przed kilku laty zupełnie oślemniał. Zmarł w sile wieku, nie miał bowiem jeszcze lat 50ciu.

K. Bartoszewicz.

NA WYŁOMIE.

(*Wiersz Asnyka. — Czy „Dziennik“ zrozumiał przestrogę? — Milczenie „ładu i porządku“. — Maska. — Zapytanie.*)

Gdy przed dwoma tygodniami zamieściliśmy prześliczny wiersz „Przed jutrem“, napisany przez Adama Asnyka dla „Przeglądu Poznańskiego“, a śpiewający „Memento“ tym wszystkim, którzy oślepieni światłem nowych haseł i przerażeni alarmem najświeższej ewolucyi w społeczeństwie naszem, oczy odwracają w trwodze szalonej, lub zdeptać pragną „młodą, silną zieleń“, — nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że właśnie „Dziennik Poznański“, — owa „teraźniejszość zwiędła“, — o której mówi poeta, - pospieszy przedrukować (oczywiście bez podania źródła) czarującą pieśń jutrzenkową i wyrok potępienia dla własnej roboty. Snać „teraźniejszość zwiędła“ nie zrozumiała, że wielki poeta zaśpiewał swoje „Przed jutrem“ nam ku nadziei, jej ku przestrodze, że zasłuchany w bojowe gwary naszych walk domowych i zapatrzony w ten tłum szeroki, idący ścianą w bój z kolosem zwietrzałym, wydobył z swej lutni pieśń pełną wiary i filozoficznego spokoju, pieśń wróżącą życie tym, którzy „z obumarłych tkanek“ wylatują „na skrzydłech motyla“ i nie odstraszeni „rozpaczliwą skargą“ dawnych form bytu społecznego, pospieszają „zrzucić korę zbutwiałą“. Ileż to razy w chwilach burzliwych zapasów politycznych rozwijaliśmy na stronnicach „Przeglądu“ złotą przędzę Asnykowskich idei, ileż razy usiłowaliśmy w szarej, codziennej prozie zwrócić uwagę zaskorupiałych przeciwników na owe prawa ewolucyi społecznej, które w tak misternych wiązaniach wyśpiewał *El.y* natchniony:

> Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
> Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
> Chociaż chce chwilę przedłużyć poprzednią
> I trwać w postaci, jaką się oprzędła.
>
> . . . .
>
> Świat zrzucić korą zbutwiałą pospiesza,
> Bo ją rozsadza młoda, silna zieleń —
> Nienarodzonych niezliczona rzesza
> Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.
>
> . . . .
>
> Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
> Pod nowych haseł i dążności wodzą,
> Muszą złorzeczyć bezlitośnym dziełom,
> Któremi dzieci w pierś macierzy godzą.
>
> Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
> Który pozornie zrywa wszelkie węzły,
> I w zacieśnionych nie mieści się ramach
> Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.
>
> A przecież cała ta burzliwa siła
> To zawsze tylko ciąg przeszłości dalszy —
> W jej łonie dawno jako zaród tkwiła,
> Pragnąc osięgnąć rozwój doskonalszy.
>
> . . . .
>
> Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
> Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda —
> I pojednana z warunkami życia
> Świeża latorośl, świeże kwiaty wyda.
>
> I to, nad czego boleliśmy stratą,
> Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
> Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
> Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

Czyżby „Dziennik Poznański“ nie zrozumiał intencyi wielkiego poety? Czyż nie zarumienił się wobec potęgi strof Asnykowskich, — on, który „młodą zieleń“ zaspami piasku lotnego i gradem kamieni zadusić pragnął, — on, który zatrwożony o byt „obumarłych tkanek“ uderzał w tamtam świecki i kościelny, krzycząc na całe gardło, że duch „Kościeleckich anarchistów“ panoszy się na poznańskiej ziemi, i zwołując „mężów ładu i porządku“ na bój śmiertelny z bufcami młodych „intruzów“. A może przedrukowanie Asnykowskiej poezyi jest pierwszym sygnałem odwrotu? Jeżeli to przypuszczanie nie jest błędnego optymizmu owocem, to bez wahania serdecznym dłoni uściskiem powitamy w obozie naszym „nawróconego“, bo przecież mówi nam pismo święte, że milszą Bogu jedna zbłąkana i na prostą drogę sprowadzona owieczka, niż tysiące wiernych.

Chwilowo jednak „Dziennik — konwertyta“ tańczy przed nami w znaku zapytania i nie przedstawia żadnych gwarancyi, że oswobodzi się dumnie z więzów zachowawczo-klerykalnych i wziąwszy rozbrat z tradycyonalną hypokryzyą, w boju o prawdę, światło i postęp z nami się połączy. W ubiegłym tygodniu zapisaliśmy w łamach „Przeglądu“ gorszący występek jednego z filarów Dziennikowego kierunku, — zapisaliśmy fakt zerwania solidarności narodowej przez tego właśnie, który namiętnie w obronie jej występował i który z urzędu powinien być solidarności tej najczulszym opiekunem i stróżem. Prawdziwość rewelacyi naszej nie ulega najmniejszej wątpliwości, a mimo to „Dzien. Poz.“ i „Kuryer“, poinformowane najdokładniej o całej sprawie, milczą jak zaklęte.

Cóżby powiedzieli mężowie „ładu i porządku“, gdyby którykolwiek z chorążych przeciwnego kierunku targnął się na ową tak głośno reklamowaną solidarność wyborczą? W uszach nam jeszcze dzwoni to słowo klątwy, ten głos wołający o pomstę do nieba, gdy cząstka obywatelstwa polskiego oderwała się od armii narodowej i z własnym kandydatem przystąpiła do urny wyborczej, lubo kandydatem tym nie był Niemiec, lecz Polak — patryota. A dziś, jaki spokój dyskretny! Cyt! Proszę o wielką ciszę, bo winowajcą jest mąż „ładu i porządku“. Zaśpiewacie może, że oskarżony położył wielkie zasługi około sprawy publicznej i dla tego karcić występków jego się nie godzi. Lecz któż to powiedział, że wina winą już nie jest, gdy na piersiach obżałowanego błyszczą medale zasługi. Wiemy, że w takich warunkach serce ludzkie w żalu się rozpływa i uczucie to obcem nam nie było, gdy w łamach pisma naszego pojawiło się słowo: „Winny“, — a mimo to usłyszeliście je wyraźne i pełne. Lecz wy milczycie, — nie z wdzięczności dla oskarżonego, lecz z stronniczego wyrachowania, w interesie koteryi i kliki. Gdy z drogi obowiązku zboczy wasz przeciwnik, wtedy nie pytacie o zasługi jego, wtedy stos budujecie — niech ginie! Jacy wy nizcy jesteście i mali! Niech żyje „ład i porządek!“

Powiedział pewien feljetonista francuzki, że dobrym dziennikarzem ten tylko być może, kto na progu redakcyi razem z kaloszami zostawia sprawiedliwość. Jeżeli słowo to jest prawdziwem, to w konkursie dziennikarstwa europejskiego nasze wielkie organy jako ostatnie nie staną u mety. Umiecie milczeć tam, gdzie wołać trzeba, — umiecie kłamać tam, gdzie przeciwnika nie zgnębicie prawdą. Feljetony moje ostatnie, poświęcone taktyce „Kuryera Pozn.“ uchyliły rąbek zasłony z tej iście ultramontańskiej przewrotności, starającej się wmówić w czytelników swoich, że „Przegląd“ nie ma nic pilniejszego do roboty, jak walczyć z religią, Kościołem i duchowieństwem.

Pierwsze lepsze słowo wyrwane ze związku, pierwsza lepsza parabola lub zwrot figuryczny wystarczają zupełnie, aby redakcyę naszę przedstawić jako ognisko herezyi i ukuć po swojemu denuncyacyę. Cele takiej metody są jasne. Scharakteryzowałem je nieraz otwarcie, a dziś tym „obrońcom Kościoła“, mającym siedlisko swoje w „Kuryerze“, przypominam słowa wierzącego katolika *de Sacy*, zwrócone do zelotów ultramontańskich: „*Nous portons presque tous le masque. Arrachons le; que trouverons nous? Tout sauf la religion.*“

* * *

Zapytanie. Czemu komitet wyborczy miasta Poznania, mimo złożenia mandatów swoich przed czterema miesiącami, nie zwołuje zebrania celem wyboru nowego komitetu. Czy to strach przed utratą władzy? Czy dzieło zakulisowych kierowników, lękających się, że nowy komitet tańczyć nie będzie według ich piszczałki? Obywatelstwo poznańskie zaczyna już tracić cierpliwość.

Sulla.

S p r o s t o w a n i e. W ubiegłym tygodniu zakradła się do feljetonu przez nieuwagę korektora następująca omyłka: Zamiast „Szwajcarya, zrzucająca jarzmo francuzkie“, czytać należy: „S z w a j c a r y a, z r z u c a j ą c a j a r z m o h a b s b u r g s k i e“. Przypisek Red.

KRONIKA LITERACKA.

Wiktor Gomulicki. Jeden z nowych. Nowele, studya i obrazki, Warszawa. Wilno, Józef Zawadzki, Petersburg, 1895 r., str. 276.

Wykwintny kolorysta, okraszający dar obserwacyjny szczerą poezyą i czuciem, dalekiem od zdawkowego sentymentu, wydał nowy zbiór nowel, studyów i obrazków. Gomulicki należy do tych pięknych, cieplarnianych talentów, które

tworzą mało; ale zarówno jego poetyckie strofy natchnione, jak i z życia wyrwane obrazy, skończonemi zawsze dziełami są sztuki. Nie dla tłumów pospolitych tworzy Gomulicki, więc się nie od tłumów może spodziewać laurów sławy. Można nawet przypuszczać, że unika, niby złej szarańczy, popularności krzykliwej i że mu wystarcza wysokie uznanie umysłów wybranych i serc subtelnych. W świeżo wydanym tomie spotykamy jedenaście nowych utworów nowelistycznych autora „Prawa Maltusa". Do najpiękniejszych w tym zbiorku należą nowele: „Obowiązek", „Czy kochała?", odsłaniające rąbek tajemnic duszy kobiecej, albo zagadkę psychologiczną rzucające olśniönemu pierwszorzędnemi zaletami stylu czytelnikowi. W ślicznym obrazku weneckim „Gołębie", na poły w żartobliwym, na poły w romantyczyym tonie trzymanym. stara historya zdradzonej miłości nabiera pod piórem Gomulickiego nowego a niewysłowionego uroku. Pełne myśli głębszej są „Kryptogamy" i „Legenda o miłości", w noweli zaś „Jeden z nowych" wybornie schwycony jest typ dzisiejszego „schyłkowca", zatruwającego serce i umysł młodego dziewczęcia. Pod względem technicznym ukazały się utwory Gomulickiego w nader ponętnej sukience, co honor czyni starej firmie drukarskiej Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

* * *

Konfederaci barscy na Syberyi (1774) wydał A. Kraków, nakład redakcyi „Świata" 1895, str. 160.

Wydawca niedawno odkrył nieznany rejestr rękopiśmienny nazwisk konfederatów barskich, którzy wbrew wszelkiemu prawu wywiezieni zostali na Sybir przez gospodarującą w Polsce Moskwę. Znajdował się między nimi pułkownik Belcour, który uwolniony w roku 1773 złożył obszerną relacyę stanom i królowi, przedstawiając zarazem ów „regestr konfederatów". Było ich 5415, zacząwszy od marszałków, komendantów, a skończywszy na trzech żydach i 44 maroderach. Największa ilość była jeźdźców (1859), towarzyszów koronnych (1169) i piechurów (1029). Belcour opowiada ich smutne losy. znęcania się nad nimi siepaczy wszelkiej rangi. To też nie wszyscy zdołali wytrzymać i wielu zmarło od razów i we więzieniu, część zaś mniej mająca odwagi do znoszenia prześladowań, porzuciła wiarę lub dobrowolnie wstąpiła w szeregi wojska rosyjskiego. Znaczną część zmuszono gwałtem wejść w te szeregi. Pomijając ciekawość, jaką ich losy obudzić mogą, książka jest ważnym przyczynkiem dla historyi naszych rodzin, nie ma bowiem prawie nazwiska szlacheckiego, któregoby się w tym rejestrze nie znalazło, niektóre zaś występują w znacznej ilości. Samych Adamowskich naliczyliśmy sześciu, Andrzejowskich trzech, Baranowskich siedmiu, Bartoszewiczów czterech, Boguckich czterech, Bielskich czterech itd. Rejestr jest bardzo szczegółowy, bo nie tylko rozdziela konfederatów według ich stopni, ale podaje spis tych, co dobrowolnie zostali, co przyjęli inną wiarę, którzy poumierali, zostali wzięci lub dobrowolnie weszli do wojska rosyjskiego itd. Starannie zebrane przez wydawcę szczegóły o Belcourze, oraz wzmianka o losie konfederatów ze źródeł rosyjskich uzupełniają ten ważny przyczynek do dziejów konfederacyi barskiej.

K. B.

* * *

Jakób Burckhardt. Kultura odrodzenia we Włoszech tom I. Kraków, nakładem księgarni Spółki wydawniczej 1894 str. 368.

„Dzieło Burckhardta odznacza się takiem bogactwem wiedzy, pisane jest w duchu tak silnym i głębokiem, że nie podobna objąć go od razu, lecz trzeba się wczytać w nie przez długie lata" — temi słowy dr. Hubert Janitschek ocenia dzieło, które w krótkim czasie doczekało się w języku niemieckim trzeciego wydania. Walka między stolicą apostolską a cesarstwem nadała Włochom odmienny i nadzwyczaj różnorodny ustrój polityczny; pomiędzy temi dwoma potęgami istniało mnóstwo tyranii i republik, w których po raz pierwszy się rozwijał samodzielnie europejski duch państwowy. Dla tego też Burckhardt rozpoczyna od charakterystyki organizacyi państwowej w XIII i XIV wieku we Włoszech. W organizacyi tej leży najsilniejszy powód ówczesnego rozwoju Włochów i utworzenia z nich nowożytnych ludzi: element subjektywny wystąpił w pełnych formach, człowiek stał się duchową jednostką. To znowu naprowadza Burckhardta do historyi rozwoju jednostki włoskiej, do skreślenia podnoszącego się indywidualizmu, którego wynikiem był wzrost sławy nowożytnej. Powstała cześć dla wielkich poetów, cześć dla grobów sławnych ludzi, dla własnych świętych, dla starożytnych nawet współziomków i współobywateli. Często straszny czyn płynął z chęci spełnienia czegoś wielkiego i pamiętnego. Tę ambicyą i wysoce rozwinięty indywidualizm trzymały w karbach żart, dowcip i szyderstwo, których dzieje wypełniają dalsze rozddziały. W trzeciej części pierwszego tomu traktuje Burckhardt odrodzenie starożytności. Kiedy za granicami Włoch szło tylko o zużytkowanie naukowe i refleksyjne niektórych pierwiastków klasycznego świata. Włosi przez łatwość w rozumieniu łaciny i przez cześć dla starożytności. która była ich własnem wspomnieniem, stanęli na czele odrodzenia i rozwoju klasycyzmu. Podajemy dalsze główne punkta treści tomu I.: duch XIV wieku, Rzym jako miasto ruin, rozpowszechnienie starożytnych autorów, biblioteki. druki, nauki greckie i orientalne, humanizm XIV wieku. wychowanie, stanowisko humanistów na uniwersytetach. mecenasi humanizmu, styl epistolarny, mowy i kazania łacińskie, łaciński traktat i dziejopisarstwo, ogólne zlatinizowanie oświaty, poezya nowo-łacińska. skargi na humanistów i upadek ich w wieku XVI. Przyswojenie dzieła Burckhardta naszej literaturze jest całkiem na czasie w obec ogólnego popędu do zapoznawania się z epoką odrodzenia, a zwłaszcza wzrastającej pracy nad odtworzeniem dziejów humanizmu polskiego. Szkoda. że tłómaczenie jest nieco za ciężkie.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Z obrad nad t. zw. projektem przewrotowym w parlamencie niemieckim donoszą o coraz ciekawszych wnioskach stronnictw zachowawczych. Do paragrafu 130 projektu podał dep. Rintelen następujący dodatek: Kto publicznie albo w obec kilku osób za pomocą druku, pisma lub ryciny zaczepia istnienie Boga, nieśmiertelność ludzkiej duszy, świętość religii i moralny charakter małżeństwa, podlega karze więziennej do 2 lat lub grzywnie do 600 marek. Konserwatyści zaś podali według „Freis. Ztg." wniosek, aby zezwolić na łżenie żydostwa (!!), a poddać karze osoby zaczepiające chrześciaństwo, świętość przysięgi, monarchii, małżeństwa, rodziny i nietykalność własności w celach podkopania porządku społecznego. — Cech szewski w Koźminie urządził obchód uroczysty celem uczczenia pamięci Jana Kilińskiego. — Z pomocą Koła polskiego wnieśli duńscy posłowie sejmowi wniosek, domagający się zaprowodzenia nauki języka duńskiego w szkołach elementarnych w północnym Szlezwiku i dalszy wniosek, żądający zmiany ordynacyi gminnej dla Szlezwiku i Holsztynu.

Zjazdy i kongresy. W dniu 23. lutego rozpoczął się niemiecki kongres handlowy w Berlinie. Na kongresie tym przyjęto następujące rezolucye:

1) Kongres handlowy podtrzymuje swoją uchwałę z roku 1886. według której niemieckiej waluty złota znosić nie należy: zniesienie jej uważałby wydział za fundamentalne podkopanie całego życia gospodarczego Niemiec.

2) Kongres handlowy uważa istniejący dobrowolny związek kupiecki za jedynie słuszną formę reprezentacyi centralnej, nie zgadza się na nadanie tej instytucyi charakteru urzędowego, ale uważa za potrzebne, aby rząd przed ustanawianiem praw dotyczących handlu i przemysłu przedkładał projekta do rozpatrzenia i wydania własnej opinii zarządom izb handlowych.

— **Teatr i muzyka.** W czwartek odegrano na scenie poznańskiej po raz pierwszy jednoaktowy obrazek dramatyczny miejscowego aktora i literata p. Wincentego Rapackiego (syna) p. t. „Plama." Treść utworu swojego zaczerpnął autor z życia artystów warszawskich. Tendencya „Plamy" zwraca się przeciw obniżaniu sztuki do poziomu zyskownego rzemiosła. Utwór przeładowany nieco balastem rezonerskim zaleca się zręcznym układem, pięknym wierszem i plastyką kilku typów, a zalety te wystawiają korzystne świadectwo talentowi młodego pisarza. którego publiczność po zapadnięciu kurtyny wywołała na scenę. Postacie kobiece wprowadzone do sztuki rażą nieco brakiem organicznego spojenia z zasadniczą treścią utworu, ale jedna z nich, typ praktycznej, ograniczonej i rezolutnej niewiasty uderza kolorytem żywem i wyrazistością konturów. Przekonani jesteśmy, że utwór p. Rapackiego zyska sobie prawa obywatelstwa na wszystkich scenach polskich. — „Bukiet dramatyczny" wystawiony w ubiegły czwartek na benefis artysty naszego p. Jakubowskiego, zgromadził w teatrze nader liczną publiczność, która bawiło się dobrze nieomal do północy (!). Pomijając przesadną obfitość programu, zapisujemy z uznaniem poprawną grę artystów poznańskich, a przedewszystkiem nazwiska pp. Trapszy, Jakubowskiego, Królikowskiego, Skirmunta, Prochaski i Knapczyńskiego, oraz pani Adolfiny i Heleny Zimajer, Wróblewskiej i Trapszowej. Tylko duety kobiece w „Czułej strunie" kłóciły się z orkiestrą i z sobą bezustannie. — Pani Adolfina Zimajer urządza niebawem wieczorek humorystyczny, złożony z wyjątków najrozmaitszych operetek. Zachęcać publiczności do udziału w koncercie nie potrzebujemy, bo nazwisko sympatycznej artystki stanowi dostateczną zachętę. — Ulubiony i tylokrotnie odznaczony nasz warszawski kompozytor Adam Münchheimer przygotował do druku trzy nowe utwory: dwie pieśni do słów Alfa: „Sen" i „Sierota", oraz mazurek na skrzypce. — Teatr krakowski przedstawi we środę popielcową po raz pierwszy i powtórzy w dni następne wspaniały poemat dramatyczny Gerharda Hauptmanna. autora „Tkaczy", słynne misteryum p. t. „Hanusia" (Hanneles Himmelfahrt). Dramat ten który na scenie wiedeńskiego Burgteatru. jak również w Niemczech, Francyi i Anglii, Włoszech i Skandynawii wielkie wywarł wrażenie. odegrany będzie w Krakowie w przekładzie dokonanym dla sceny krakowskiej przez Maryę Konopnicką. — „Lysistrata", komedya Arystofanesa w przeróbce Stanisława Koźmiana. która w Krakowie graną była kilka razy, a w prasie wywołała ostrą polemikę literacką, zaczęła się drukować w dodatku satyrycznego tygodnika „Zagłoba". wychodzącego we Lwowie. — W jednym z ostatnich numerów gazety „L'etoile Belge" znajdujemy wzmiankę, że pan Munie wysłał artystom teatru Moliera w Brukseli dramat w 4 aktach p. t. „La comtesse Wanda", napisany przez pannę Mery Komar. Dramat jest osnuty na tle polskich stosunków. Akcya podobno bardzo ożywiona. Czytanie sprawiło wielkie wrażenie. Pierwsze przedstawienie ma się odbyć w d. 16 marca rb., przy udziale pierwszorzędnych sił artystycznych. — Na letni sezon przygotowuje teatr w Saskim ogrodzie w Warszawie „Córkę regimentu" z p. Czosnowską w roli tytułowej. — P. Ludowa wystąpiła cztery razy gościnnie w Radomiu. — Dramat Władysława Rabskiego „Zwyciężony" tłomaczy na język czeski znany czeski literat Arnos Schvab Polabski.

Zmarli:

Lubomir Nen dowicz. serbski poeta, zmarł w Valjewo w początkach lutego.

Francesco Podesti. nestor malarzy włoskich, zm. w Rzymie w wieku lat 94.

Wilhelm I. Martens, malarz rodzajowy, zm. pod Berlinem w początkach lutego.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. W. Ja. w Lipsku. Zamieściliśmy. Prosimy o częstsze wiadomości.

W. L. Jeden z nadesłanych utworów zamieszczamy dzisiaj. Z reszty korzystać nie możemy. Może Szan. Pan zechce nam dostarczać feljetonowych pogadanek w rodzaju tych. które swojego czasu „Przedświt" publikował.

Z. B. B. we Wiedniu Z łaskawej propozycyi skorzystamy przy okazyi.

A..na. Pod względem naukowo-literackim lepiej jest redagowaną „Prawda", pod względem informacyjnym natomiast „Przegląd tygodniowy". Nowa redakcya „Niwy" nie spełniła nadziei w niej pokładanej. Zapatrywania Pani w sprawie „literackiej zazdrości" mieszczą w sobie nie mało prawdy. Radzimy przeczytać odnośne miejsce w „Bez Dogmatu" Sienkiewicza.

Kłos. Poruszamy w dzisiejszym feljetonie. Z łaskawie nadesłanych aforyzmów skorzystamy przy sposobności.

Marya K. Niech Pani raczy się udać do którejkolwiek z księgarni poznańskich. My katalogu „biblioteki teatrów amatorskich" nie mamy pod ręką, a na pamięć tytułów i ceny cytować nie możemy. O ile sobie przypominamy to „Posag w kominie" jest sztuczką „ze śpiewami".

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.